EPOKA

ROK V. Warszawa, 5 lutego 1938 r. Rok V Nr 4 (107)

Spiski przeciw szermierzom światła

Człowiek naprawdę kulturalny może wyznawać tylko filoczłowieczeństwo, t. j. miłować u ludzi wszelkich ras i narodowości (nawet u swego własnego narodu) te cechy, które są trwałym i wartościowym dorobkiem rozwoju duchowego i moralnego ludzkości.

MANFRED KRIDL.

Po pierwszych oddzielnych wystąpieniach profesorów: M. Michałowicza, T. Kotarbińskiego, M. Kridla, H. Ułaszyna, R. Gańszyńca, Z. Szymanowskiego i innych, po głośnym dziś zbiorowym oświadczeniu profesorów różnych wszechnic, które omówili śmy w Epoce („Lux in tenebris lucet") — rozległ się donośnie po całej Polsce protest rektora Stanisława Kulczyńskiego.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że ci wybitni Polacy zespalają się duchowo przeciw spiskom ciemnoty, aby przeciwstawić się im wyłącznie w murach Almae Matris. Myliłby się także, ktoby lekceważąco umniejszał wagę tych odważnych wystąpień i brał je za odruchy zniecierpliwionych profesorów, którym krzykliwi i natrętni nosiciele mroku zakłócają osobisty spokój i przerywają tok pracy myślowej i pedagogicznej.

Nie! Wystarczy wniknąć nieco głębiej w ducha protestu tych szermierzy światła, ażeby powziąć pewność, że tutaj weszły w grę zadania i postulaty ogólnej natury, podjęte dziś przez sfery ściśle uniwersyteckie, wraz z całym kulturalnym i patriotycznym ogółem polskim. Stajemy tutaj wobec odmiany czy dopływu politycznego ruchu umysłów wyższych, zmierzającego świadomie i celowo ku zmianie rzeczywistości dzisiejszej.

I choć pozornie wydawać się może, sądząc z niektórych wynurzeń profesorów, że gromią oni tylko zamachy na wolność nauki, z pominięciem innych zdrożności totalizmu po za murami wszechnic, to jednakże ruch ten nie zamyka się w ramach wyłączności, lecz sprzęga się z powszechnym ruchem politycznym demokracji polskiej.

Potwierdza to ubocznie w swoim poważnym proteście rektor Kulczyński, kiedy mówi, że „na sprawę zbawienności reżymu politycznego, propagowanego przez hołdujące monopartyjnemu totalizmowi, każdy zapatrywać się może, jak mu się podoba... W żadnym zaś razie ani Rektor, ani Uniwersytet ani nau-

ka polska za zbawienność tych recept odpowiedzialności nie ponosi, ponosić nie może i nie chce. Przymusowe angażowanie władz uniwersyteckich w realizowaniu i w wprowadzaniu w życie koncepcji polityczno-prawnej stronnictwa politycznego (monopartyjnego totalizmu) jest szantażem, wykonywanym na uniwersytetach i na nauce polskiej... Za szantaż, uprawiany na Uniwersytetach, płacą te czcigodne instytucje nie tylko swoim prestiżem, płacą one także swoją zdolnością do pracy i rozkładem swojego ustroju. Łatwo jest widzieć, że pod płaszczem pięknych haseł solidaryzmu narodowego, obrony polskości naszej kultury, dokonywa się rozbiór autonomii uniwersyteckiej, brutalne obdzieranie władz autonomicznych Uniwersytetu z ich godności a nauki polskiej z jej praw wolnościowych jedynie zdolnych zapewnić jej rozwój.

Nauka nie może rozwijać się w warunkach przymusu nie dlatego, że takie jest widzimisię profesorów ale dlatego, że nauka jest myślą wolną, a myśl, która wolną nie jest, nie jest myślą naukową. Bez nauki zaś trudno będzie żyć nie tylko uczonym, ale także i tym, których rękoma rozbiór polskiej nauki się dokonywa".

Ten sąd autorytatywny potwierdza raz jeszcze śmiertelne niebezpieczeństwo, które zawisło nad źródłami kultury z chwilą, gdy do wnętrza wszechnic przeniknęły forpoczty reakcji. Podejmując obronę wolności nauki świat uniwersytecki w osobach swych uczonych i humanistów staje się wartościowym i czynnym sojusznikiem demokracji.

A zarazem nić swej tradycji nawiązuje do tych cichych, mało znanych, lecz jakże szczytnych wysiłków, na jakie myśl polska zdobywała się w najtrudniejszych okresach swego rozwoju, tworząc ogniska pracy badawczej. Jednym z ognisk takich było to, które w zaraniu wieku bieżącego powstało na gruncie Warszawy. Wzniecone prywatnymi środkami ludzi ofiarnych i odważnych, skupiło ono poczty najświetniejszych umysłów, twórców, pisarzy i uczonych, którzy walczyli o byt i honor kultury polskiej. Oddzielną kartę poświęcenia i heroizmu zapisali podówczas także ludzie nauki. Oni to, pozbawieni urzędowych katedr, bibliotek, pracowni, nie mając zapewnionego jutra, szczuci i osaczani byli przez obce i rodzime ciemnogłowie. Nie chcąc dopuścić, ażeby „upodlenie ducha nagięło duszę do łańcucha" stworzyli tajny uniwersytet, w którym obwarowała się na lat dwadzieścia bez mała nowatorska myśl naukowa i społeczna, reprezentowana tam przez umysły tej miary, co Piotr Chmielowski, Bronisław Chlebowski, Jan Wł. Dawid, Wacław Nałkowski, Adam Kryński, Samuel Dickstein, Ignacy Matuszewski, Adolf Dygasiński, Adam Mahrburg, Władysław Smoleński, Mieczysław Heilpern, Ludwik Krzywicki i wielu innych, których wyliczać tutaj niepodobna.

Ludwik Krzywicki, który pospólnie z tym zasłużonym gronem dźwigał pochodnię nauki i doniósł ją niemal już sam do dni dzisiejszych, nie ustając w tym trudzie przez długie półwiecze, — jest żywą tradycją walki o wolność nauki, a także łącznikiem między czasem minionym a chwilą obecną. Podpis Ludwika Krzywickiego pod głośnym dziś oświadczeniem profesorów najdobitniej dokumentuje rodowód duchowego powinowactwa, czyniąc zbytecznymi wszelkie w tym kierunku dociekania.

Wszechnice, jako przybytki wiedzy i prawdy, — posiadają obecnie szczególnie ważne znaczenie społeczne. Wobec braku lub upadku wszystkich innych instancji zbiorowego rozumu, cieszących się zaufaniem narodu i oddziaływających silnie na powstawanie poważnej opinii publicznej, — wszechnice spełniać muszą obecnie dodatkową rolę zastępczą i normującą. One to, promieniując nie tylko na bliskie otoczenie, lecz i na szerokie środowiska po za uniwersyteckie, powołane są do niesienia berła rozumu ponad falami rozkołysanych lub zatrutych namiętności.

Nie jest rzeczą przypadku, że tłum psychiczny, opętany dziś przez obce idee totalistyczne, przejawia szczególnie zażartą nienawiść do ognisk rozumu, do intelektualistów, twórców i uczonych, którzy za rozkwit kultury i jej wartości moralne dźwigają pełną przed narodem odpowiedzialność. Również nie jest rzeczą przypadku, że wzorem dyktatury, spychającej ludzi w mrok średniowiecza — ciemne siły przypuszczają szturmy do wszechnic, próbując je opanować i przetworzyć na powolne narzędzia totalistycznego panowania. Bo spisek ciemnoty, który rozgałęził się pod bokiem demokracji zawiązany został przeciw wszystkim ogniskom i wszystkim szermierzom światła.

Na cóż więc czeka i czego się spodziewa zastęp tych milczących profesorów, którzy dotąd nie wsparli swymi podpisami mężnej postawy orędowników kultury i nauki, występujących na oczach całej Polski z otwartą przyłbicą?

H. L.

* * *

Już po napisaniu powyższego artykułu prasa lwowska zamieściła list otwarty treści następującej:

Podpisani profesorowie szkół akademickich we Lwowie uważają za obowiązek określić stanowisko swoje wobec stosunków, które zapanowały obecnie w tych uczelniach.

Wieki trwająca walka o ideały ludzkości stworzyła ze szkół akademickich najwyższe ośrodki rozwoju nauki i kultury. Wyrazem zrozumienia znaczenia tych ośrodków oraz roli, jaką mają spełniać w społeczeństwie, jest zagwarantowanie im swobody oraz niezależności. Szkoły akademickie, jeśli mają spełnić swe zadanie, winny być wolne od wszelkich wpływów, nie mających z nauką nic wspólnego. Najgroźniejsze z nich są te, które je zamieniają na teren rozgrywek politycznych, partyjnych czy też narodowościowych. Tego nie chcą sobie uświadomić ci, którzy już od dłuższego czasu wprowadzają w mury wyższych uczelni w Polsce groźny ferment, a wyzyskując ich wolność i eksterytorialność, przenoszą walkę polityczną na ich teren. Obałamucona przez nich i łudzona popularnymi hasłami część młodzieży zorganizowała bojówki, które swymi barbarzyńskimi występami doprowadzają do zahamowania wszelkiej pracy w uczelniach. Gwałty, nieposzanowanie władz akademickich, bezprzykładne łżenie i znieważanie profesorów oraz próby teroru, nawet względem kolegialnych władz akademickich, stały się zjawiskiem niemal pospolitym, wytwarzając zamęt graniczący z anarchią.

Próby opanowania tego stanu przez nawoływanie do opamiętania się, spełzły na niczym, a władze akademickie wobec braku odpowiednich środków nie mają już możności obrony kardynalnych podstaw bytu szkół akademickich, ich swobody i niezależności. Znamiennym objawem wytworzonych stosunków są fakty, które zaszły ostatnio. Oto nieda-

wno rektor i senat politechniki lwowskiej ulegając terorowi, wprowadzili urzędowe ghetto, niezgodne w swym założeniu i poczuciem prawa. W ten sposób zadany został cios niezależności i prestiżowi władzy akademickiej, która pod terorem wyrzekła się swego prawa do swobodnej decyzji.

Drugi, nie mniej znamienny fakt, zaszedł obecnie na uniwersytecie J. K. Tu rektor od początku stał na straży godności uczelni i poświęcił cały swój wysiłek, aby ją uchronić przed wpływami wprowadzającymi rozkład. Z młodzieży hołdującej metodom gwałtu i teroru, usiłował za wszelką cenę wyzwolić człowieka i obudzić w niej honor obywatela akademickiego oraz poszanowanie dla obowązujących praw. Dla swoich wysiłków nie znajdował jednak należytego poparcia ani pomocy, a kiedy uczelni zagroził zbiorowy gwałt młodzieży, mający za cel wymuszenie ghetta, z urzędu swego ustąpił. Ustąpił, bo nie chciał narazić na poniżenie najwyższej godności uczelni.

Gdy nauka i kultura są najwyższym dobrem społecznym, a podważanie bytu i swobodnego rozwoju ich ośrodków staje się czynem godnym surowego potępienia, podpisani wyrażają solidarność ze stanowiskiem zajętym przez rektora U. J. K. protestują przeciwko dalszemu nadużywaniu przywilejów i swobód akademickich przez czynniki polityczne, wdzierające się przemocą w mury wyższych uczelni.

We Lwowie dnia 20 stycznia 1938.

Podpisy: *H. ARCTOWSKI, K. BARTEL, E. BRATRO, L. CHWISTEK, L. EBERMAN, R. GANSZYNIEC, F. GROER,W. HAHN, K. HARTLEB, A. KLISIECKI, J. KOWALSKI, W. KRUKOWSKI, S. KRZEMIENIEWSKI, E. KUCHARSKI, S. LEGEŻYŃSKI, T. OSTROWSKI, G. POLUSZYŃSKI. K. RÓŻYCKI, G. SOKOLNICKI, S. STASIAK, W. STOŻEK, D. SZYMKIEWICZ, J. TOKARSKI, K. WEIGEL, M. WIERZUCHOWSKI, S. WITKOWSKI.*

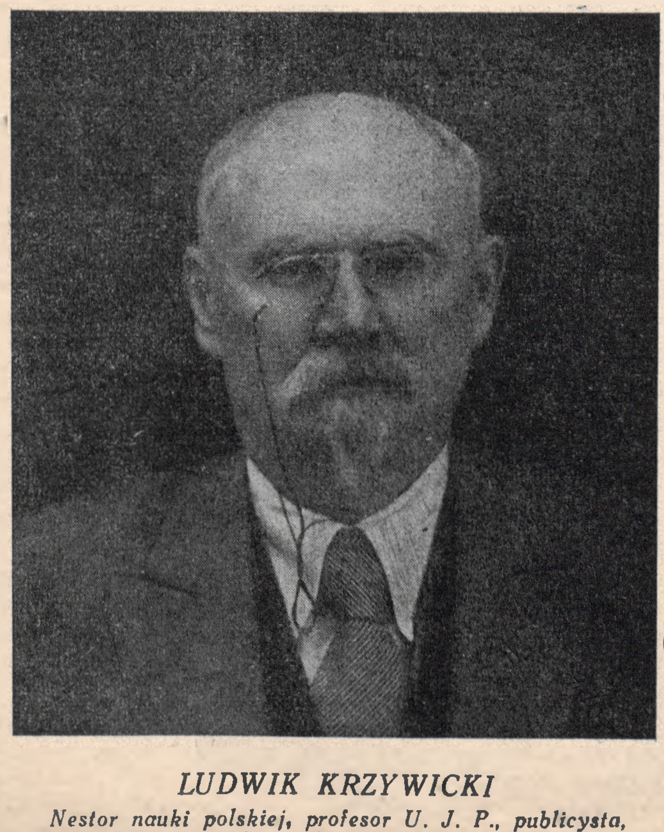
Do poprzedniego oświadczenia profesorów zgłosił swój podpis *JOACHIM METALLMAN, DOC. U. J.*

Powyższy protest lwowskich profesorów świadczy niewątpliwie, że świat nauki w coraz pokaźniejszej liczbie swych doborowych przedstawicieli odgradza się jak najbardziej stanowczo od prądów reakcyjnych. Nie tylko odgradza się, lecz naprzekór wszelkim wpływom i przeciwnościom łamie napór fanatyzmu. Z chwilą więc, kiedy twórczy intelekt polski wstępuje na nowo w swoje prawa i czynną swoją postawą oddziaływać zaczyna na życie publiczne — można być pewnym, że światło rozumu nie ulegnie ciemnościom.

EPOKA

Dźwignia wielkiego dzieła

W 1920 r. osoby, które wystąpiły z Biura Pracy Społecznej, założyły Instytut Gospodarstwa Społecznego, jako autonomiczną sekcję Towarzystwa Ekonomistów i Statystyków Polskich, zaś w 1926 r. ta doniosła placówka pracy społecznej przekształciła się pod względem prawnym w instytucję samodzielną. Na czele Instytutu stanął niemal od początku jego założenia niestrudzony prof. Ludwik Krzywicki, który skupiwszy koło siebie grono wybitnych i ideowych współpracowników, rozpoczął badania pionierskie, zapuszczając się stopniowo w podkłady życia dotąd słabo wzruszone i niepoznane naukowo. Nie zrażając się trudnościami i brakiem zasobów pieniężnych, które rzecz prosta, wstrzymywały rozpęd prac i pogłębianie badań, Instytut w początkowym okresie swego istnienia rozwinął jednak szerszą działalność propagandową i publicystyczną. Przerzuciwszy się następnie do badań ściśle naukowych, Instytut pierwsze swoje dzieło poświęcił sprawie struktury społecznej i gospodarczej Rosji. Prawie równocześnie Instytut zainicjował serię swoich opracowań z zakresu zagadnień życia gospodarczego Polski, publikując wiele przyczynków, rozpraw i wykazów bibliograficznych, będących wynikiem samodzielnych, skrzętnych i żmudnych poszukiwań.



LUDWIK KRZYWICKI

Nestor nauki polskiej, profesor U. J. P., publicysta, niestrudzony działacz społeczny.

Rozszerzając znacznie zakres swoich badań w kierunku zdobycia bezpośrednich materiałów, Instytut w 1931 r. rozpisał konkurs na pamiętniki bezrobotnych, najbardziej nękanych przez pogłębiający się kryzys gospodarczy. Napłynęło wówczas około 800 odpowiedzi z całej Polski, z których część ogłoszona została drukiem w oddzielnym tomie — „Pamiętniki bezrobotnych". Zachęcony wynikami tej metody badania, Instytut już w 1933 r. ogłosił konkurs na pamiętniki chłopów, który zawdzięczał swój niezwykły rozgłos i powodzenie także organizacjom ludowym, żywo popierającym pionierską działalność Instytutu. Z plonu, obejmującego około pół tysiąca pamiętników, Instytut wybrał 61 i ogłosił je drukiem w pomnikowym dwuseryjnym wydaniu p. n. „Pamiętniki chłopów".

Rozszerzając dalej zakres badań, poświęconych życiu gromady wiejskiej, Instytut niemal równocześnie z opracowaniem pamiętników, zajął się przepro-

wadzeniem ankiety w 53 wsiach w różnych dzielnicach kraju, mającej na celu zgłębienie zjawiska t. zw. „bezrobocia wsi", a właściwie jej przeludnienia, odpływu ludności wiejskiej do miast i odwrotnie, rozbieżności pomiędzy możliwościami wytwórczymi gospodarstw drobnych a potrzebami spożywczymi rodzin chłopskich. W 1937 r. ukazał się już pierwszy tom wyników tej ankiety p. t. „Struktura społeczna wsi polskiej".

Niestrudzeni entuzjaści badań w nowych dziedzinach, niczem podróżnicy wśród podbiegunowych pustyń lodowych, gnani świętością sprawy odkrywczej, — pracownicy Instytutu podejmują zadania badawcze emigracji i rozwijają je stopniowo w kilku kierunkach. Ogłaszają nowy konkurs na pamiętnik wychodźców, zamieszkujących Francję, Stany Zjednoczone, Kanadę oraz kraje Ameryki Południowej (Urugwaj, Brazylja, Argentyna, Paragwaj) i zbierają plon w postaci 212 pamiętników.

Ażeby mieć wyobrażenie, jakim duchem ożywione są prace Instytutu, których tutaj wszystkich nawet z tytułu wymienić niepodobna,*) wystarczy zbliżyć się do źródła tych wspaniałych poczynań i posłuchać własnych słów kierownika Instytutu, prof. Ludwika Krzywickiego. W przedmowie do drugiego tomu „Pamiętników chłopów" Ludwik Krzywicki formułuje założenia, z których wychodzi Instytut Gospodarstwa Społecznego i tak, między innymi powiada: „Instytut oddał się całkowicie dochodzeniom w zakresie tych tłumów(najmitów miejskich i wiejskich, bezrolnych i małorolnych), stanowiących pod względem ilościowym bądźcobądź rdzeń narodu polskiego. Powziął ambicję śmiałą, a dla wielu zakrawającą na donkiszoterję, ażeby poświęcić się wyłącznie sprawie usunięcia z ziemi polskiej źródeł nędzy i krzywdy. Przykładał się do tego oświetleniem zaułków naszego życia społecznego według swoich sił i środków, a więc w skali skromnej, ale w poczuciu głębokim, iż zajął posterunek zaniedbany, poniekąd jak gdyby zapomniany".

Tak, wszystko, co jest śmiałe i twórcze, a wybiega poza zakres korzyści osobistych — dla wielu jest donkiszoterią. Gdy wnikniemy w treść pracy Instytutu, związanego jaknajściślej z osobą Ludwika Krzywickiego, dostrzeżemy rzecz znamienną a niewątpliwą: że przybytek ten jest współczesną realizacją na wielką skalę dawnych badań w różnych dziedzinach życia, podejmowanych przed wielu laty i prowadzonych samotnie i samodzielnie przez Ludwika Krzywickiego. Tutaj także dostrzeżemy rzadkie zjawisko nie tylko na gruncie naszym, ale i na wielkim obszarze świata, że grono ludzi, którym przykładem świeci Ludwik Krzywicki, dźwiga wielkie dzieło społeczne, znaczone niezależnością, swoją własną pracą.

Ażeby posiąść wyobrażenie o głównej linii życia Ludwika Krzywickiego, czytelnik musiałby dać się unieść na chwilę wyobraźni i przenieść się ku czasom odległym, do ósmego lat dziesiątka ubiegłego wieku: ujrzy wówczas, jak Ludwik Krzywicki młody uczony, wykładowca i działacz robotniczy wstępuje na drogę żmudnej pracy i niebezpiecznej walki. Odtąd, idąc za nim, podziwiać będzie, jak ten niestrudzony pionier, zapatrzony w ideały, prze ciągle naprzód przez lat kilkadziesiąt, nie zbaczając z obranej drogi i dochodzi twardym krokiem z podniesionym czołem do dni naszych mimo zapór, prześladowań, obojętności ogółu i przeciwności losu.

Minęło półwiecze działalności Ludwika Krzywickiego i spodziewać się należy, że świat nauki i pracy upamiętni tę ważną datę w dziejach kultury polskiej. Uświetni chyba, umai i kwieciem zaściele ten etap wspaniałego pionierskiego żywota. **L.**

*) Patrz dane uzupełniające: „Sprawozdanie z działalności Instytutu Gosp. Społecznego (1920 — 1930) i „Społem" Nr. 23.

O posterunki kultury polskiej na obczyźnie

Profesor dr. M. Michałowicz na Komisji Senatu przy budżecie Min. Spraw Zagranicznych dn. 27.I. wygłosił następujące przemówienie:

Wysoka Komisjo! Nie będę poruszał na Komisji Budżetowej spraw, dotyczących zasadniczej linii polityki M.S.Z.; uczynię to w innym miejscu. Dziś omówię kilka faktów, świadczących, że pewne czynniki Ministerstwa Spraw Zagranicznych nie zawsze mają w dalszym ciągu dostateczne wyczucie, jak cennym dla nas instrumentem jest zaznajamianie świata z wysokim poziomem nauki polskiej.

Już w zeszłym roku, jako vice-przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych, miałem zaszczyt poruszyć kwestię niewykorzystywania dla interesów Polski uczonych polskich. Niestety, pan Minister nie reagował na podniesione przeze mnie zagadnienia, co zwróciło powszechną uwagę wśród sfer nauki i inteligencji polskiej. Wobec powyższego powracam dziś znowu do tych spraw. Z początku przytoczę nagie fakty, następnie postaram się wysnuć z nich pewne wnioski.

Fakt 1. W roku 1931 liczna delegacja przedstawicieli Rządu i szeregu ministerstw, uniwersytetów i towarzystw naukowych złożyła natychmiast po przyjeździe na Zjazd Międzynarodowy Przeciwgruźliczy swe bilety wizytowe u Pana Posła Rzeczypospolitej. Pan Poseł nie uważał za stosowne przysłać swoich biletów.

Fakt 2. W roku 1932 Delegacja Polska na Zjazd Słowiańskich Kardiologów ujrzała pewnego dnia przed oknami swego mieszkania auta przysłane przez gospodarzy Zjazdu i ze zdziwieniem dowiedziała się, że zgodnie z uprzednio ułożonym planem był to dzień zarezerwowany dla wszystkich bez wyjątku poselstw celem umożliwienia tymże przyjęcia swoich rodaków, delegatów na Zjazd. *Wyjątek stanowiło tylko Poselstwo Polskie, które nic o Zjeździe nie wiedziało, wobec czego Polacy zostali zaproszeni do Poselstwa Tureckiego.*

Fakt 3. W jednym z zaprzyjaźnionych państw podejmowano w r. 1935 polską oficjalną wycieczkę lekarzy, w której skład wchodził szereg rektorów i bardzo wielka liczba profesorów. Sekretarz Poselstwa, który w tym czasie chwi-

lowo sprawował rządy, nie raczył odpowiedzieć na złożone sobie bilety wizytowe. Dopiero kategoryczna postawa Delegacji zakomunikowana o godzinie 23-ej telefonicznie Panu Sekretarzowi spowodowała odesłanie biletów o północy po kilku dniach pobytu Delegacji Polski w danym mieście. Umożliwiło to Delegacji przybycie do Poselstwa na popołudniową herbatę dnia następnego.

Fakt 4. W roku 1937 odbywały się w jednym z państw 2 Zjazdy Międzynarodowe: Opieki nad Dzieckiem i Lekarzy Pediatrów. O stosunku Ambasady Polskiej do Delegacji na Zjazd Opieki nad Dzieckiem mówiła pani Senatorka Jaroszewiczowa. O wrażeniach ze Zjazdu Pediatrów powiem ja. W pierwszym dniu po przyjeździe dowiedzieliśmy się na posiedzeniu gospodarczym zjazdu, że jednym z vice-prezesów Zjazdu został delegat Litwy, która przyjechała w składzie aż... 4 osób; jednej pani profesor i 3 lekarzy wolno-praktykujących. Natomiast Delegacja Polska dobrana niezwykle starannie z samych profesorów i przedstawiciela Akademii Nauk reprezentująca trzecie miejsce z kolei na Zjeździe pod względem liczebności — (koło 60 osób) — otrzymała vice-prezesurę pojedyńczego dodatkowego posiedzenia. Jako przedstawiciel Rządu Polskiego zaprotestowałem, składając na ręce Pana Zastępcy Ambasadora swą dymisję. W wyniku tego stanowiska Polska otrzymała kompletną satysfakcję w formie przeprosin ustnych i pisemnych.

Pan Minister Spraw Zagranicznych przemawiając w zeszłym roku na Komisji Senackiej używał, jako refrenu, zwrotu „o wszystkim decyduje realité des choses". Mieliśmy już wiele próbek tej „realité des choses" na terenie międzynarodowym w stosunku do Polski. Zapytuję Wysokiej Komisji, dlaczego w stolicy Państwa, z którym stosunki powinny się układać jak najlepiej ze względu na wielkie usługi wyświadczone przez Polskę temu Państwu, dlaczego w stolicy tej honoru Polski i nauki polskiej ma bronić lekarz od dzieci, nie zaś Ambasador Rzeczypospolitej? Odpowiedź na to będzie łatwa, gdy się Państwo dowiedzą, że do 10-ej godziny rano wszystkich interesantów załatwia tam woźny, bo jeszcze nie ma 10-ej, a po 12,30 załatwia znowu ten woźny, bo już jest po 12,30. Dla dopełnienia obrazu dodam, że Delegacja Polska nie była podejmowana ani przez Ambasadę Polską, ani przez Poselstwo Tureckie tylko przez Ambasadę Francuską. Takie jest „realité des choses".

Wnioski z przytoczonych przeze mnie faktów wyłaniają się same przez się. Informowanie świata o Polsce, o jej walorach kulturalnych i naukowych wegetuje w dalszym ciągu w ręku biurokratów. Pewne osoby Ministerstwa w dalszym ciągu nie doceniają czynników społecznych, owych tysięcy swych obywateli, którzy pracą swą na polu nauki wysunęli się do pierwszych szeregów świata. Już w roku zeszłym podkreślałem z całym naciskiem, że są zagadnienia, którym nie podołają ani urzędnicy w biurach, ani panowie korespondenci, piszący na zamówienie artykuły o Polsce dla prasy zagranicznej. Istnieją zagadnienia realne, które tylko przez ludzi realnych mogą być z korzyścią dla państwa rozwiązywane. Biurka w kancelariach i biurka w redakcjach zagadnień tych nie rozwiążą, i nad tą „realité des choses" należałoby się głęboko zastanowić.

Istnieje grupa ludzi w Polsce, która stara się przyswoić sobie pewne drastyczne idee naszych sąsiadów. Jestem w niezgodzie z tą grupą, ale są pewne urządzenia techniczne, które wartoby było i na nasze tereny od sąsiadów przenieść. Do takich urządzeń technicznych należy referat dla spraw kultury i nauki przy każdej placówce zagranicznej. Należałoby aby i nasze polskie placówki zagraniczne otrzymały tego rodzaju referentów, pod warunkiem, że będą do tego dobrani tędzy ludzie, zasłużeni na polu nauki i sztuki, nie zaś biurokraci lub figuranci.

MIECZYSŁAW MICHAŁOWICZ
senator.

Dwie ojczyzny

W TWOJEJ OJCZYŹNIE KARKI SIĘ ZGINA
PRZED KAŻDĄ WŁADZĄ.
DLA ZWYCIĘŻONYCH — WZGARDA I ŚLINA,
GDY ICH NA KAŹŃ PROWADZĄ.

W TWOJEJ OJCZYŹNIE GDYŚ HOŁDY SKŁADAŁ —
PRZED OBCE TRONY.
W OJCZYŹNIE MOJEJ, JEŚLI KTO PADAŁ,
TO KRWIĄ ZBROCZONY.

W OJCZYŹNIE TWOJEJ DO OBCYCH W WIERZE
BÓG SIĘ NIE ZNIŻA.
MOJA OJCZYZNA ŚWIAT CAŁY BIERZE
W RAMIONA KRZYŻA.

W TWOJEJ OJCZYŹNIE SŁAWNYCH PORTRETY,
TOM W ETAŻERCE.
W MOJEJ OJCZYŹNIE SŁOWA POETY
OPRAWNE W SERCE.

CHOCIAŻ CI SPRZYJA TEN WIECZÓR MGLISTY
I NOC BEZGWIEZDNA,
JAKŻE MNIE WYGNASZ Z ZIEMI OJCZYSTEJ
JEŚLI JEJ NIE ZNASZ?

ANTONI SŁONIMSKI.

Wobec pewnych niezamierzonych odgłosów, jakimi odbiła się lub mogła odbić się w opinii zamieszczona w poprzednim numerze „E p o k i" notatka p. t. „Antoni Słonimski sam na sam z losem", poczuwam się do obowiązku oświadczyć, że założeniem jej, pozostającym po za wszelkim nawiasem wątpliwości był wstrząs odrazy i zgrozy wobec ohydnej napaści, której uległ autor wiersza „Dwie ojczyzny" *). Intencją redakcji, mającej przeświadczenie o wysokiej tego wiersza wartości, było danie temu publicznego wyrazu oraz przyłączenie głosu „E p o k i" do chóru protestów przeciw haniebnemu postępkowi. Czysty

*) „W i a d o m o ś c i L i t e r a c k i e" Nr 742.

ton natchnienia, jakie w tym utworze się pali, stał się właśnie miarą upadku, którymi zamroczyć się musiał osobnik, przeciwstawiający zaciśniętą pięść szlachetnym słowom poety. Ale akt barbarzyństwa, którego ofiarą stał się Antoni Słonimski nie jest, niestety, w naszych czasach zjawiskiem wyjątkowym. Stał się on tylko szczytowym punktem tej dzikiej inwazji, która posuwa się naprzód, która odwołuje się do określonej doktryny i stosuje określoną metodę. Jest to groźba totalizmu, której czoło stawić może tylko siła polskiego mózgu i polskiego świata pracy. Daję wyraz tym poglądom osobiście nie od dnia dzisiejszego, dajemy pospólnie wszyscy i nieustannie na łamach tego pisma. Ale też przyznać trzeba, że przeciw nakazowi tej solidarności zbyt długo, niestety, mniej lub więcej grzeszyliśmy wszyscy. Zapatrzeni w autorytety przeszłości, przeceniając znacznie ich siłę ochronną, nie dość pilnie strzegliśmy przykazań, stojących na straży niepodległości myśli i niepodległości człowieka. Pozwoliliśmy starym, przeklętym upiorom wtargnąć do nowozbudowanego domu na gruzach zaborów. Mówiąc o brutalnej napaści na poetę, nie ustrzegliśmy się zbytecznych akcentów goryczy i złośliwości. Należy przede wszystkim uświadomić sobie, w jakich żyjemy warunkach i ogarnąć ogrom i nagłość niebezpieczeństwa, grożącego Polsce. Tej Polsce, z której imienia niegdyś czyniono „pacierz, co płacze i piorun co błyska". Czy wolno naszym pokoleniom 1905 i 1914, które walczyły o wolność i wywalczyły Niepodległość dopuścić, aby pacierz miał się dziś zmienić w ryk nienawiści bliźniego przeciw bliźnim, a piorun — w pięści rozhukanych awanturników?

Oświadczam, że mylą się ci, którzy sądzili, iż pisząc o Antonim Słonimskim, szukaliśmy z nim jakichś porachunków. Są chwile, które odwracają najpamiętliwsze nawet urazy (jeżeli wogóle były) i biada tym, którzy w obliczu nadciągającej nawałnicy nie potrafią wyjść poza pewne różnice poglądów lub wznieść się ponad własne obrażone nagniotki. Wśród wielu rozmaitych linii podziału, jakimi w ostatnich czasach kreślono mapę i duszę Polski, jedyny bodaj przedział głęboki i zasadniczy jest ten, który dał w swoim wierszu Antoni Słonimski:

W ojczyźnie twojej do obcych w wierze
Bóg się nie zniża.
Moja ojczyzna świat cały bierze
W ramiona krzyża.

Tomasz Mann, największy pisarz niemiecki, żyjący dziś na wygnaniu, w swej „Przestrodze dla Europy" napisał te słowa: „Świat być może jest już zgubiony. Będzie zgubiony na pewno, jeśli nie zdoła wyrwać się z hypnozy i odzyskać samowiedzę".

Na co André Gide, wierzący w potęgę ducha i żywotność kultury odpowiedział: „Nie, Tomaszu Mannie, świat nasz nie jest jeszcze zgubiony, nie może on ulec zagładzie, dopóki choć jeden głos, taki jak Twój, rozlega się, aby go budzić. Dopóki sumienia, takie, jak Twoje, nie przestaną czuwać, — nie poddamy się rozpaczy".

Podobne słowa otuchy niech nam pozwolone będzie skierować i do Atoniego Słonimskiego po zgłębieniu rzetelnej prawdy i czaru jego wspaniałego wiersza „Dwie ojczyzny": dopóki takie natchnienia rodzić się będą, nie poddamy się rozpaczy.

HENRYK LUKREC.

Z DNIA NA DZIEŃ

LISTA NORWIDOWSKA

Znany pisarz Wacław Borowy takie czyni głęboko słuszne uwagi w związku z napaścią na Antoniego Słonimskiego („Wiadomości Literackie Nr 744).

„Napaść na Antoniego Słonimskiego, jej reżyseria, jej pogłosy w dziennikach pewnego typu, to seria wydarzeń, które przejmują trudnym do wysłowienia oburzeniem i obrzydzeniem. Okolicznością szczególnie posępną jest powoływanie się na godność narodową, dotkniętą jakoby przez wiersz Słonimskiego „Dwie ojczyzny". Nie przez co innego, ale przez ten wiersz właśnie.

Rzecz to znamienna, jeśli się zważy, że Słonimski w sposób poetycki traktuje w tym wierszu samą sprawę patriotyzmu, porównywając dwa odmienne jego rozumienia. Otóż można ze Słonimskim różnić się bardzo w ideałach (jak np. ja się różnię), można krytykować pewne jego metody publicystyczne (jak wielu z nas je krytykowało), można negatywnie oceniać słuszność różnych jego opinii (i to wielu z nas czyniło); niepodobna jednak nie przyznać, że w tym wierszu z niepospolitą trafnością ujął on jeden z rzeczywistych i wielkich kontrastów życia.

Istotnym rysem wszelkiego patriotyzmu jest przywiązanie do jakiejś narodowej tradycji. Niestety w każdym narodzie są tradycje dobre i złe; stąd i patriotyzmy bywają różnego gatunku.

Istnieje, owszem, wśród naszych tradycyj i ta, którą podtrzymał autor zeszłotygodniowego wyczynu. Szkic jej dziejów spisał już Norwid w jednym z listów z r. 1867. Oto kilka fragmentów z tego listu. („Pisma do dziś odszukane", wydanie Zenona Przesmyckiego, Warszawa, 1937, t. IX; str. 59):

...„Adam Mickiewicz, lżony jako zły Polak w Dreznie"...

...„Maurycy Mochnacki, zelżony na ulicy jako agent rządu rosyjskiego"...

...„Zygmunt hrabia Krasiński, uderzony w policzek od dobrego Polaka"...

...„Władysław hrabia Zamoyski, uderzony kijem przed kościołem Ś. Magdaleny w Paryżu od walecznego Polaka"...

...„Ludwik Mierosławski, uderzony w policzek przez heroicznego Polaka w Paryżu"...

Norwid doprowadził dzieje tej okropnej tradycji do swoich czasów. Nie ustała ona jednak wtedy. Listę norwidowską powiększył w r. 1878 Bolesław Prus. W naszych czasach znaleźli sę na niej tak zasłużeni pisarze, jak Stanisław Stroński i Adolf Nowaczyński (napadnięci — pamiętamy w jakich okolicznościach! — prawdopodobnie także w imię „godności narodowej" i prawdopodobnie także przez Polaków w swoim rozumieniu dobrych i walecznych).

Raz jeszcze: Słonimskiego można lubić mniej lub więcej, można nie lubić zupełnie. Nikt jednak nie zaprzeczy, że to jest pisarz wybitny; nikt mu nie odbierze stanowiska, które zdobył w poezji polskiej (chyba sposobem takim, jakim władcy dzisiejszych Niemiec zastosowali do Heinego; ależ i oni czy wiele osiągnęli, i czy na długo?). Trudno pojąć, jakie były intencje zeszłotygodniowego bohatera. To pewna, że jedynym ze skutków musi być dołączenie nazwiska Słonimskiego do powyższej listy, smutnej

nad wszelki wyraz, ale, zaiste, w niemałej mierze honorowej.

Tak, niestety, słowa o dwojako pojmowanej ojczyźnie znajdują ponure potwierdzenie".

Rzeczą zbyteczną jest powiększać tę „listę norwidowską", jakkolwiek możnaby przytoczyć jeszcze kilka świetnych nazwisk ludzi, którzy, jak Antoni Słonimski, padli ofiarą bestialskiej napaści, wzorowanej na rozprawach w ciemnych zaułkach wielkiego miasta.

Jedna wszelako uwaga nasuwa się nieodparcie: oto imiona napadniętych przeszły w aureoli wiecznej sławy do historii, imiona zaś napastników, po efemerycznym trwaniu w kronice codziennych wypadków, zczezły bez śladu na zawsze. Historycy i pamiętnikarze wstydzą się przeważnie ich wymieniać, aby nie plamić ich nazwiskami wspaniałych kart kultury polskiej.

KONTROLERZY TWÓRCZOŚCI

Przed kilku miesiącami wyszła, jak wiadomo, doskonała powieść H. Boguszewskiej i J. Kornackiego p. t. „Deutsches Heim" z cyklu „Polonez". Powieść ta, obrazująca ewolucję psychiczną, jakiej ulega pod wpływem hitleryzmu młodzież niemiecka na Pomorzu polskim stała się przedmiotem napaści ze strony czasopisma niemieckiego „Ostland", wychodzącego w III Rzeszy.

Bezprzytomne miotanie się organu hitlerowskiej hakaty, obryzgującej śliną wściekłości wyborowe karty „Deutsches Heim", świadczy tylko, że prawda, bijąca z powieści, dźwięczy najczystszymi tonami. Nie mogąc rozprawić się z nią na modłę ojczystą i posłać książkę na stos, „krytyk literacki" Ostlandu szuka przynajmniej ulgi w paroksyzmie bezsilnej złości i pod naszym adresem wykrztusza taką wyszukaną sentencję: „Okoliczność, iż książka ta nie spotkała się w Polsce z potępieniem, ale przeciwnie (o zgrozo!), jest polecana i wychwalana jest) dowodem demoralizacji i braku kultury w życiu politycznym Polski".

Krakowski dwutygodnik *„Albo — Albo"*, będący trybuną walki o kulturę, w związku właśnie z tą sentencją takie słuszne wypowiada uwagi:

„Ciekawe, co na tę bezprzykładną napaść faszystowskiego pisma powiedzą pp. Kaden i prof. Zieliński, członkowie PAL'u i zarazem znani propagatorzy „współpracy kulturalnej" Polski z „Trzecią Rzeszą"? Co do nas, uważamy że — mimo wszystko — tak źle jeszcze nie jest, aby „recenzenci" hitlerowscy mogli wykonywać „kontrolę ideologiczną" nad czołowymi utworami współczesnej literatury polskiej! Niemniej, głos „Ostlandu" o książce Boguszewskiej i Kornackiego jest bardzo znamienny i powinien stanowić groźne „memento" dla naszych politycznych i literackich entuzjastów „przyjaźni" z Hitlerią..."

„Ostland" nie zadowala się niepowołanym mentorstwem w rzeczach polskiej twórczości, ale także podniesionym głosem mówi o polityce zagranicznej Polski, jak przytaczają „Dziennik Ludowy" i wileński „Kurier Powszechny", zarzucając jej brak zdecydowania. Nie zadowalając się odniesionymi sukcesami, wpływowe pismo hitlerowskie pozwala sobie na uwagi następujące: „polityka uprawiana przez Polskę wymaga mniej odważnej inicjatywy, niż zręcznej mądrości. Kto ją uprawia, ten przeoczył, że co uchodzić ma za mądrość, uznawane jest przez innych za niepewność kontrahenta. Kto jest zbyt ostrożny, aby usiąść zawczasu na jednym ze stołków, ten wreszcie zostanie bez stołka". Morał stąd jasny: „Ostland" żąda uległości, a żądania swoje ośmiela się popierać łatwo wyczuwalną groźbą.

POLSKA NIGDY OENEROWSKĄ NIE BĘDZIE!

Polska prasa demokratyczna zwiększyła się o dwa nowe czasopisma: „Czerwone tarcze" oraz „Orkę".

Oba są ciekawe, żywotne, godne uwagi. Oba opierają się o wielką tradycję kultury polskiej, której obcy jest fanatyzm rasy i argument siły brutalnej. Oba, ponad głową obcych, solenizantów koniunktury, sięgają do prawdziwych źródeł potęgi polskiej, a więc do źródeł społecznych i ludowych: do tych, z których niegdyś czerpał Józef Piłsudski, gdy walczył o wolnego człowieka, w wolnej ojczyźnie.

Na pierwszej stronie „Orki" w artykule wstępnym („Zamiast programu") znajdujemy trafne i wnikliwe myśli, wyrażające pogląd redakcji na sytuację obecną i na zadania własne.

„Możliwe — czytamy — że dotychczasowa rola, jaką odgrywał obóz legionowy się kończy. Nie kończy się jednak idea legionowa i jej wpływ na bieg życia polskiego, no i nie kończy się walka o rząd dusz między ideą niepodległościową a dmowszczyzną, odradzającą się obecnie w t. zw. ruchu narodowo-radykalnym..."

„Część obozu legionowego, widząc niewątpliwy dynamizm t. zw. ruchu narodowego, uległa sugestii, że młodzież, duchowo się wywodząca z Narodowej Demokracji, przebuduje w przyszłości Polskę według swoich koncepcyj — ze Polska jutrzejsza będzie Polską Oeneru. Stąd już jeden krok tylko do wejścia na drogę usuwania przeszkód, piętrzących się przed domniemanymi przyszłymi budownikami Polski, krok jeden do współdziałania w dziele realizacji *przełomu*. Bezowocny i smutny wysiłek! Zostałby po nim tylko wstyd wobec historii, a może i wobec własnej swojej młodości. Polska nigdy oenerowska nie będzie".

„Nie chcą tego masy i nie chcemy my — młodzi nie wychowani pod skrzydełkami endecji. Powiecie nam, że my nic nie znaczymy, że jesteśmy rozbici, że brak nam dynamizmu. Obecnie może to jeszcze i prawda, ale prawdą jest również, iż w ruchu niepodległościowym, w P.P.S., w żołnierzach „Piłsudskiego", była potęga woli, niszcząca wszystkie przeszkody małości duszy polskiej, zdolna do najwyższych osiągnięć. Ta potęga odradza się dzisiaj, bo jeśli Polska ma być wielka, odrodzić się musi, bo wreszcie my tak chcemy. Pokolenie Legionów nauczyło nas, że wola wszystko może. My wolę naszą, czyn nasz kładziemy w walce o jutro Polski na szali dziejowych przeznaczeń narodu i Państwa — kładziemy obok woli i czynu polskich warstw pracujących".

Oto głos młodzieży, który zarazem jest głosem prawdziwej młodości!

UPIORY

Nasi czciciele totalistycznego buta, wbrew ponurym doświadczeniom krajów dyktatury, nie przestają gloryfikować i zachwalać systemy totalne. Najzajadlej zwalczają pogląd, że totalizm jest nową formą niewoli społecznej, cofającej narody cywilizowane do stanu średniowiecznego feodalizmu.

Nie z byle jakiej strony przychodzi potwierdzenie słuszności stanowiska demokracji. Przychodzi nieoczekiwanie ze strony, którą najmniej wśród przemian dzisiejszych posądzać można o popieranie ruchów wolnościowych, a tymbardziej ruchu wyzwoleńczego rzesz pracujących. Oto organ wielkiego przemysłu — „Kurier Polski" wypowiada takie znamienne poglądy:

„Nawrót do średniowiecza w państwach totalnych przejawia się w coraz to innej dziedzinie życia. Ostatnio w Niemczech zanotowano pewien objaw, który można śmiało nazwać pańszczyzną. Oto na tle braku sił fachowych w przemyśle, występującego w katastrofalnych już rozmiarach, ukazało się zarządzenie, zakazujące robotnikom wykwalifikowanym zmiany miejsca pracy bez zezwolenia władzy państwowej.

W średniowieczu chłop był glaebe adscriptus, przypisany do ziemi. Obecnie narodowy socjalizm, który **mieni się opiekunem warstw pracujących, stwarza nową formę zbliżoną do niewolnictwa**, przypisuje pracownika do przedsiębiorstwa.

Jest to jeszcze jeden etap na drodze

do zupełnego podporządkowania jednostki rzeczywistym czy też urojonym interesom państwa. — Etap zapewne nie ostatni. Wystarczy jednak przyjrzeć się temu, co dotychczas zrobiono w państwach totalnych, by stracić ochotę na ich naśladowanie".

To stanowisko Lewiatana daje wyobrażenie, jak bardzo odstręczającym stał się upiór totalizmu, zwłaszcza, jeżeli się zważy, że wielki kapitał pierwotnie bądź wspierał wszelkie „przełomy narodowe", bądź życzliwie się do nich ustosunkowywał.

W tym samym przedmiocie konserwatywny „Czas", organ wielkiego ziemiaństwa, wypowiada się nie mniej wyraźnie i potępiająco: „systemy totalistyczne burzą zdobycze ostatnich wieków i wprowadzają z powrotem urządzenia, jakie zwykliśmy uważać za średniowieczne".

Jedynie więc endectwo wszelkiego autoramentu, tkwiące moralnie w klimacie średniowiecza, lgnie do najbardziej reakcyjnych systemów. Wiedzione popędem i instynktem naturalnym, endectwo zagnieździć by się pragnęło w totalizmie pod skrzydłami dyktatury, wie bowiem, że tam jest jego oparcie życiowe, macierzyste podłoże i wylęgarnia.

SZTUKI MAGICZNE

Nowo założona „Kronika Polski i Świata" nie gardzi widocznie żadnymi sposobami dla zyskania rozgłosu i zaprezentowania się czytającej publiczności z jak najlepszej strony. Po bohaterskim hiper- „wyczynie" pana Ipohorskiego pismo to zapisało się nową kreacją, która daje wyobrażenie o jego poziomie i smaku moralnym.

Oto w pierwszym numerze „Kroniki" umieszczono fotografię, przedstawiającą grupę uzbrojonych kajdaniarzy, z których kliku trzyma w rękach obcięte i zmasakrowane głowy ludzkie. Pod tym makabrycznym widokiem znalazło się objaśnienie następujące: „Żołnierze „humanitarnej" hiszpańskiej armii komunistycznej trzymają w rękach głowy żołnierzy narodowej armii hiszpańskiej".

„Robotnik" zadał sobie trudu i zbadał autentyczność tego wstrząsającego dokumentu, przedrukowanego skwapliwie przez inne „narodowe" pisma, no, i naturalnie, przez czujnego i niezawodnego „Ikaca". I cóż się okazało? Oto „Robotnik", badając drogi, jakimi to zdjęcie hańby i zdziczenia doszło do czytelników, — znalazł tę samą fotografię w numerze włoskiego, faszystowskiego „Corriere della Serra" z dn. 13.I.1938 r. z objaśnieniem, że to zdjęcie znalezione było „przy jednym z milicjantów hiszpańskich". Ale nie koniec na tym. Dzieje tego dokumentu okazały się znacznie starsze. Bo oto w 1927 r., a więc na 9 lat przed wybuchem rebelii hiszpańskiej, ukazała się w Paryżu książka p. t. „Pamiętniki Abd-el-Krima" sławnego przywódcy powstania riffenów przeciwko Hiszapnii Alfonsa XIII. I w tych to pamiętnikach „Robotnik" znajduje to samo zdjęcie z dopiskiem Abd-el-Krima: „Patrz na tę fotografię, na te głowy obcięte, na te wyłupione oczy w rękach hiszpańskich „Regulares", czyli hiszpańskich wojsk kolonialnych, dowodzonych przez generała Franco. Świat dzisiejszy wie przecież, że one to właśnie zasiliły najmocniej rebelię przeciw republice.

Zbrodnię Kanibalów kolonialnych, uwiecznioną na zdjęciu w książce wodza riffenów i wydanej w 1927 r., — organ włoskiego najazdu przypisuje milicjantom republikańskim w 1938 r., a sławetna „Kronika", sympatyzująca z „Regulares" generała Franco skwapliwie przedrukowuje i wzmacnia jego wymowę haniebnym objaśnieniem.

Słusznie napiętnowawszy to fałszerstwo, „Robotnik" dodaje, że przecież z równym powodzeniem można powiedzieć, że to zdjęcie odtwarza sztuczki carskich kozaków na ulicach Warszawy i objaśnić czytelnika słowami: „Międzynarodowa brygada w akcji". Przy sposobności warto zapytać: jak my, Polacy, przyjęlibyśmy podobnie cyniczny kawał w czasie naszych walk z najazdem moskiewskim? Jak czulibyśmy się, gdyby ktoś bestialstwo suworowskich kozaków, nadziewających głowy polskie na swoje piki, przypisał cudzoziemcom, którzy jak szlachetny płk. włoski Francesco Nullo, kpt. rosyjski Potiebnia i wielu innych zaciągnęli się do szeregów polskich, walczących o wolność? Jakim imieniem nazwalibyśmy rzecz, gdyby takie zdjęcie z podobnym objaśnieniem umieściła wówczas jakaś „Kronika", wysługująca się carom moskiewskim?

ŚMIERĆ I MYŚLI

Według doniesień prasy nowojorskiej Bucharyn, teoretyk komunizmu, rozstrzelany został w Moskwie. Czy za to, że myślał inaczej, niż Stalin? Prawdopodobnie. Ale, być może, poprostu za to, że — myślał.

SPROSTOWANIE

Dowiadujemy się z artykułu polemicznego, który się ukazał w lwowskim „Słowie Narodowym" dn. 24.I. r. b., że prezesem honorowym „Pracy Polskiej" we Lwowie od dwóch prawie lat jest nie Pan Włodzimierz, lecz pan Adolf Cieński (jak mylnie podaliśmy w Nr 2 „Epoki"). Czyniąc zadość wymaganiom dobrych obyczajów prasowych, prostujemy lojalnie ten błąd i jednocześnie przepraszamy sędziwego b. prezesa za przykre nieporozumienie.

ANDRZEJ STRUG i KAROL IRZYKOWSKI

DWAJ LUDZIE — DWA ŻYWOTY

II.

W „Dziejach jednego pocisku" Struga podaje jeden z bohaterów, jako ostatnią rację powstania: kwestię honoru narodowego. Kwestia ta w odrodzeńczej pracy narodu grała olbrzymią rolę. Odegrała ona, jak wiemy, swoją rolę w przełomowych decyzjach Piłsudskiego. Ale dlatego właśnie budziła ostry sprzeciw w Irzykowskim. Te „odruchy honoru" wydawały mu się niesmaczną fanfaronadą. A już zgoła nie wierzył, aby mogły wzmóc poczucie mocy w narodzie i „napoić wroga respektem". „Sytuacja — dowodził (str. 71 i 72) *) — jest może sto razy gorsza, albo sto razy lepsza. Nie wiadomo przy tym, co ma uchodzić za odruch honoru — i czy gryzienie kajdan rzeczywiście zaimponuje temu, który je nałożył". Gryzienie kajdan: tak z przekąsem nazywał Irzykowski nasze powstania i rewolucje! Jego zdaniem szanujący się niewolnik, jak posłuszny pies, nie powinien gryźć obroży, którą mu nałożono. Cierpliwość i uległość w dźwiganiu kajdan podług niego imponowała zaborcom o wiele więcej. No, i — w tych latach, gdy ją zachwalał Irzykowski — była o wiele bezpieczniejsza.

Że, ostrzegając przed „gryzieniem kajdan", jako przed operacją, która nikomu „nie imponuje", Irzykowski podgryzać chciał całą naszą rewolucyjno-

*) Karol Irzykowski: „Słowo i czyn".

powstańczą tradycję, do której nawiązywał Żeromski i Strug, o tym przekonywa nas mały, lecz wielce treściwy i wymowny rozdział p. n. „Ostatni Wenedzi". Czytamy w nim takie oto wyznanie wiary narodowej:

Łatwo da się pomyśleć, że 300 ludzi powie sobie: „W tych warunkach nie chcemy żyć, więc albo — albo" — i nie mogąc porwać za sobą całego narodu, wyszuka sobie jakieś Termopile. Niech to jednak będzie naprawdę ich własną sprawą, i niech się do tego nie mięsza ani cień chęci upokorzenia narodu.

Stuletnie dzieje naszego upadku politycznego znają przykłady Polaków, którzy łączność z ideą państwową kruszyli w nagłym porywie rozpaczy lub rezygnacji. Lecz Irzykowskiego nie stać na poryw: jest to człowiek, mający w mózgu piłę i w sercu ołów. Więc co inni zrywali, on podpiłowywa. — Chcecie walczyć o Polskę? — pyta urągliwie owych ludzi podziemnych, którym przyśnił się sen o rycerskiej szpadzie. — A ileż was jest? Trzystu? Trzy tysiące? No — niech będzie, hojnie licząc, nawet dziesięć razy tyle. Ta i cóż? — mówiąc językiem *wschodnio-galicyjskiego* sceptycyzmu. Całego narodu za sobą nie porwiecie. Naród składa się przeważnie z takich, jak ja, Irzykowskich, których, jak to już wyżej nadmieniłem, „nie tak łatwo wziąć na kawał". Więc co? Urzekła was bohaterszczyzna? Chcecie kark skręcić? Nie zatrzymujemy! Proszę bardzo! Wyszukajcie sobie jakieś Termopile, jakieś lochy więzienne lub szubienice, ale tylko na swój wyłączny użytek. Nas w to nie mięszajcie. I nie próbujcie z ofiary własnej budować pomnika sławy dla siebie, upokorzenia — dla nas. Gińcie sobie razem z waszą poezją, z waszym tragizmem i z waszym „bzikiem militarnym". Wyszliście — jak powiedział jeden z was — w najciemniejszą, jesienną noc, gdy huczał wicher i bił deszcz... Nie zazdrościmy i z daleka wołamy na drogę: dobranoc! Walka, którą podjęliście, jest waszą sprawą osobistą. Jest sprawą, która przestała należyć do historii i może odtąd należyć tylko do kroniki wypadków. *Agitatorzy, bombiarze, szpiegi, robotnicy, andrusy, prostytutki:* oto, jak mi się przedstawia świat wasz, oglądany z nad mojego biurka. Świat ten nie jest moim światem.

Tak mniej więcej sformułował Irzykowski niegdyś, przed wojną, stanowisko swoje wobec literatury, zwiastującej niepodległość. Tak formułował je również i wobec tych, którzy byli pierwszymi tej niepodległości żołnierzami.

**
*

Czy można było odciąć się mocniej, bezwzględniej, dobitniej od jednych i od drugich? Ci jedni, i drudzy, zresztą, to byli poniekąd ci sami. Jeśli chodzi o Żeromskiego i Daniłowskiego, zarówno jak o Struga, to byli oni nie tylko „wajdelotami" czynu; byli również jego kowalami. W całej pełni słowa dotyczy to zwłaszcza Struga, który w służbę idei oddawał nie tylko swoje pióro, ale i całą swą osobę, zrazu, jako „człowiek podziemny" walcząc w szeregach P. P. S., a po tym, z chwilą wybuchu wojny, walcząc, jako ułan, w szeregach Legionów. Między słowem a czynem nie było muru granicznego, bo czyn wyrastał ze słowa, a słowo poety ważyło i wymagało męstwa i odpowiedzialności tyleż, co czyn. I dlatego Irzykowski, aby podciąć czyn zbrojny, gasił pochodnię słowa; aby podciąć słowo, degradował czyn. Wiedział, że owoce tych obu usiłowań we wspólnym połączą się skutku. I niedarmo swe wypady polemiczne przeciw Strugowi zatytułował „Z tajników bohaterszczyzny", a rozwinął je szerzej pod ogólnym tytułem „Z kuźni bluźnierstw". Tej bogoburczej, heretyckiej, nietzscheańskiej, ba! pseudo-rewolucyjnej czerwieni nagłówka trzeba mu było na to, aby osłonić swą golizną wygodnictwa: bojowców zaszachować postawą pseudo-extra-bojową; chorążym czynu przedstawić ich działalność, jako *pia fraus*. Nade wszystko zaś chodziło mu o to, aby w tym repertuarze samoniewoli narodowej, w którym zajął miejsce, zagrać własny ton, nie zlewający się z chórem zaprzaństwa i rezygnacji, ale właśnie tym ostrzejszy, bo oryginalny i, w swoim rodzaju, jedyny!

Irzykowskiemu nie dogadzała rola pospolitego ciury, wysługującego się obszarnikom i klechom. Jemu grały (a przynajmniej tak mu się zdawało) fanfary Mefistofela. Roił, że spełnić może diabelską rolę przy głównej Kwaterze Czynu Polskiego. Kto wie? może uda mu się być kusicielem pierwszych apostołów? Więc pod adresem *ludzi podziemnych* Struga szeptał:

Czy takich właśnie bohaterów nam trzeba? Czy ludzie tak nieskomplikowani, prostoduszni, mogą podołać budowie nowej skomplikowanej kultury? Czy ten „nowy typ ludzi" nie jest przypadkowo jakimś cofnięciem się, czy nie zostało tu coś zatracone? Czy nie uprawiamy bałwochwalczej czci bohaterskich gburów?... Pogardą śmierci nie da się ojczyzny wyłudzić. Ojczyzna nie jest też Molochem, który wymaga ofiar z ciał, i nikt też nie ma prawa narzucać tych ofiar narodowi w imię narodu. Musi nastąpić demokratyzacja wszystkich środków służenia ojczyźnie: gdy każdy czyn pospolity stanie się tak rzetelnym, jak śmierć, śmierć przestanie być czynem wyjątkowym. Usługa krwi może być najmniejszą usługą... Wy, co chcecie przeskoczyć stadia pośrednie, aby odrazu sięgnąć po pióropusz tragiczny, cały Wasz tragizm jest tylko szukaniem guza, — którego Wam serdecznie życzę, Wy polscy Indianie! (str. 26, 56, 43).

Tak szeptał, tak kusił ten mały, sceptyczny, wschodnio-galicyjski demon, zaklinając przyszłych żołnierzy Piłsudskiego, aby — w przededniu wielkiej wojny — wyzbyli się „bzika militaryzmu", pokonali w sobie nie lęk, ale pogardę śmierci i w spokojnym legowisku niewoli oddali się budowie nowej „skomplikowanej kultury". Tak samo, zresztą, kusili, tak samo szeptali Stańczycy i magnaci podolscy, biskupi i bankierzy, stronnictwo Dmowskiego i partia Piltza, wielkie ziemiaństwo i wielki przemysł: cały ów polski obóz antyniepodległościowy, który podczas wojny światowej walczy z Piłsudskim, jako, rzec można, czwarta potencja rozbiorowa. Ale czyż sam Irzykowski nie przestrzegł nas na początku swej książki, że „gdy dwóch robi to samo, to nie jest to tym samym"? Tamci robili to frazesem nacjonalistycznym, hurra-patriotyzmem, lojalizmem wiernopoddańczym i klerykalnym. Autor „Kuźni bluźnierstw" wystąpił z arsenałem broni bardziej nowoczesnej, większe mającym widoki oddziaływania na ten żywioł, na którym najbardziej obu stronom zależało: na młodzież. Dlatego usługi jego, nadomiar bezinteresowne, dyktowane prostym lecz nader wyostrzonym instynktem legowiska, były wyjątkowo cenne dla obozu, któremu przyszły z pomocą. Gdy obóz ten zwalczał Struga jako podżegacza, wichrzyciela i bezbożnika, Irzykowski puścił w ruch strzały o wiele bardziej zatrute. Zaczął o autorze „Ludzi podziemnych" mówić, jako o „poczciwym" Strugu, który nie bardzo wie, co robi; który prawdziwy heroizm, właściwie

mówiąc, podkopuje, stawiając na piedestale zamiast bohaterstwa jego karykaturę i parodię — bohaterszczyznę.

— Bo i cóż — z tryumfem pytał niegdyś nasz demon na dorobku — czynią bohaterowie Struga? — Ryzykują. Palą mosty za sobą. Otóż to właśnie. Palą mosty. A tymczasem: *„kto pali mosty za sobą, wraca często przez most ośli"* (str. 60).

**
*

Wygłaszając ten swój niepospolity aforyzm, Irzykowski nie przeczuwał, że kiedyś sam stanie się jego ilustracją; że kiedyś stanie się sam jego ofiarą.

**
*

Minęło od wydania „Kuźni bluźnierstw" lat 25: ćwierćwiecze — jedno z tych, które najgłębiej wstrząsnęło posadami świata w całych dziejach ludzkości. Ćwierćwiecze, które odwróciło los Polski. Ci, którzy niegdyś byli jej „ludźmi podziemnymi", stanęli, po wielu burzliwych kolejach i metamorfozach, na czele rządów jej odnowionego Państwa.

I oto Irzykowski, ten sam Irzykowski, który śmiał się i urągał z nich, gdy podejmowali swą walkę, jego zdaniem beznadziejną, który walkę tę nazywał „szukaniem guza", a na szubienicę, na której bracia ich ginęli, patrzył jak na „rekwizyt literacki", służący do kokietowania dam, teraz, gdy prześladowani i bezdomni stali się tryumfatorami, nie widzi żadnych przeszkód, aby w ich tryumfie uczestniczyć. I aby w nim zapewnić sobie udział na miejscu numerowanym, pisze swój pochwalny o Strugu artykuł w noworocznym n-rze „Pionu". Pod splendor tego tryumfu Irzykowski podściele teraz bez zająknienia, swą „wschodnio-galicyjską" duszyczkę, ongi tak pełną sceptycyzmu i przekory wobec gestów „bohaterszczyzny". Wraz z odmianą chorągwi, zdobiących stanowiska i reduty naczelne, odmieniły się jego poglądy. Już nie ma — broń Boże! — mowy o „bohaterszczyźnie" i „bziku militarnym". Posłusznym, żarliwym, zbożnym ogniem płonie w rękach dawnego Mefistofela amfora z kadzidłem ku czci prawdziwego bohaterstwa. I ani słowa nie usłyszymy teraz o „polskich Indianach", o „romansach skórzanych kamaszy", o „agitatorach, bombiarzach, szpiclach, robotnikach, andrusach i prostytutkach", mających jakoby reprezentować atmosferę nowel i powieści Andrzeja Struga, związanych z okresem r. 1905 — 1914. Nie! Teraz lata 1905 i 1914 zjawiają się na ustach Irzykowskiego, jako „niepożyte polskie moce historyczne". (*Pion*, nr 1 r. b.). Teraz, jak ów żydek-konformista z anegdoty wojennej, woła i nasz pan akademik literatury: „Nasi zwyciężyli".

Jest już za późno, myśli on, na to, aby teraz, gdy wielki pisarz nie żyje, pochylać się nad trudem jego życia. Za późno, a może — za wcześnie? Bo ten pisarz, który był nie tylko pieśnią o czynie, ale wcielonym czynem rycerskim, w ostatnich latach w sposób niepokojący rozszedł się ze światem możnych (przyjaciół) i znów, jak ongi, stanął na biegunie opozycji, protestu i walki. Tam, na górze, aprobowano jego sławę, lecz już nie słuchano jego głosu. Tak, na to, aby opiewać wspaniały żywot tego pisarza, jest obecnie może i za późno, i za wcześnie. Irzykowski — w zgodzie z koniunkturą — osądził, że za to w sam raz jest pora po temu, aby opiewać jego „wspaniały pogrzeb". Oddać hołd pośmiertny zasłudze, choćby się ją poniewierało za życia, to nigdy nie zaszkodzi. To nawet bywa dobrze widziane, bo świadczy o wielkoduszności, a do niczego nie zobowiązuje. Klęka więc Irzykowski przed katafalkiem Struga... On, który nie miał nigdy zrozumienia dla wzniosłości jego życia, dla lotu jego myśli, zachwyca się teraz jego spokojną i uroczystą głową... na marach.

A jaka to była piękna głowa w hełmie sutych białych włosów śmiało najeżonych, i wzrok przeszywający ponad orlim nosem, a jaka pańskość w gestach i słowach, — ktoby nie wiedział, nie domyśliłby się w nim ani literata, ani socjalisty, wziąłby go za generała w stanie spoczynku.

Ten „generał w stanie spoczynku", pojęty jako kwiat panegiryzmu, jako niebotyczny awans dla literata i socjalisty — cóż to za wzruszający objaw czci, ale także i trafnego wyczucia koniunktury! W roku 1913, gdy żołnierz polski był jeszcze tułaczem i wygnańcem we własnym społeczeństwie, można było mówić: „dostojny bzik militaryzmu" *). Dziś, w roku 1938, szukając wyrazu dla glorii najwyższego dostojeństwa ludzkiego, dla wcielenia orlej zasługi, Irzykowski powiada: „generał w stanie spoczynku".

No, i jeśli chodzi o pogrzeb, to Irzykowski funduje go Strugowi z całego serca. W barwnym opisie, rozwiniętym w *Pionie*, przeżywa on — rzekłbyś — uroczystość żałobną po raz wtóry. Nie razi go nawet w orszaku pogrzebowym brak duchowieństwa, który tym razem, w jego oczach, podnosi tylko wyjątkowy charakter wspaniałego obrzędu:

Proletariat Warszawy wyroił się, zalał cmentarz powązkowski, głuchym szumem żegnał swego barda. Pochyliły się czerwone sztandary partii nad otwartą mogiłą. A z tym hołdem cywilnym złączył się hołd wojskowy... Za trumną niesiono order Virtuti Militari, jedyny, który był zmarłemu miły. Starym rycerskim zwyczajem prowadzono konia w rynsztunku kawaleryjskim, okrytego kirem; szwadron szwoleżerów oddał honory. i grała orkiestra wojskowa — Temu, który opiewał bohaterstwo obu światów.

Opiewał bohaterstwo: a więc nie — bohaterszczyznę? Nie. O bohaterszczyźnie nie ma już ani słowa. Ani słowa — o „kuźni bluźnierstw"! Trud i krew można było wyszydzać wtenczas, gdy były pozycją w walce, która, zdawało się, nie wróżyła nic prócz... nowych „jakichś Termopil". Irzykowski wtenczas nalegał o jedno: aby owe Termopile pozostały prywatną sprawą garstki straceńców i aby nie łączono z nią „ani cienia chęci upokarzania narodu". Dziś zato czuje w sobie męstwo wszystkich poległych: dziś poczuł w sobie dumę Termopil! Idąc za trumną Andrzeja Struga, niósł w sercu tytuły jego dzieł, wspomnienia jego czynów, jak szarfy od wieńca jego sławy. Doniosłość Struga, jako pisarza, i teraz, jak przed laty 25, opiera się, podług Irzykowskiego, głównie na tych samych dziełach: na „Ludziach podziemnych", na „Jutrze", na „Dziejach jednego pocisku". Lecz jakże innymi teraz na te dzieła patrzy oczyma!

Wskazanie Żeromskiego: „tylko poezja polska nie opuści cię o żołnierzu (podziemny)" wypełniał oczywiście i sam Żeromski... i inni, ale Strug poświęcił mu najwięcej serca i był może najautentyczniejszy, jeśli chodzi o odcinek proletariacki. W J u t r z e odmalował ostatnie przejścia skazańca, który po wewnętrznej rozterce godzi się ze swą śmiercią... Oto jak blisko poezja towarzyszyła bohaterom. Czy naprawdę tak się męczyli i tak umierali? Poezja ta nie tylko oddawała fakty, — chciała je tworzyć. Solidarność, jakże rzadka w dziejach literatury! Okrzeja,

*) Irzykowski: „Słowo i czyn". Str. 34.

Montwiłł-Mirecki i inni zostali opromienieni glorią najserdeczniejszą, uwieńczeni mitem nezniszczalnym... Strug dążył do prawzoru i wierzył weń. Jego wkład etyczny jest zarazem wkładem twórczym... W szkołach literatura tego okresu powinna zajmować więcej miejsca.

„W szkołach"... Szkoła — wiadomo — bywa grobem literatury. Wystarcza najpiękniejszą powieść ulokować na liście „lektury obowiązującej", aby zwiędła i uschła w tym grobie. Taki uroczysty grób chciałby teraz Irzykowski zgotować — w znak uznania — dziełom Andrzeja Struga. Oto apoteoza, pomyślana przez belfra, a zarazem typowy przykład kanonizacji pośmiertnej! Kanonizacji człowieka, którego nie udało się ukamienować za życia! Że wkład etyczny Struga w dorobek naszej literatury jest także wkładem twórczym; że jego poezja towarzyszyła bohaterom; że nie tylko oddawała fakty, ale chciała je tworzyć i tworzyła; że opromieniła mitem niezniszczalnym heroizm walki o niepodległość, — o tym nie potrzebowaliśmy dowiadywać się dopiero teraz od Irzykowskiego. Ale cóż powiedzieć o krytyku, który, aby stwierdzić te proste prawdy, musi przekreślać swą dawną skarbnicę myśli, zapierać się samego siebie; musi splunąć w swoją własną „kuźnię bluźnierstw"?

Wszelako, nawet zapierając się siebie, Irzykowski pozostaje... sobą. Bo on, idąc za trumną Struga i wysławiając jego dzieła, niegdyś przez siebie zlekceważone, odrzuca tylko swe poglądy, t. j. coś, w gruncie rzeczy, dla siebie bardzo nieistotnego; zachowywa zaś to, co stanowi rdzeń jego natury: elastyczność i konformizm wobec środowiska. Konformizm, wyrażający się w tym, że pod łuską złudnej i cierpkiej przekory, Irzykowski zawsze, w ostatecznych swej postawy wynikach, bywa w zgodzie z panującym dogmatem większości. Był z nim w zgodzie niegdyś, gdy mówił o czynie zbrojnym, jako o czczej, pustej „bohaterszczyźnie"... polskich Indian, poszukujących guza" i gdy guza im „życzył serdecznie"; jest z nim w zgodzie i dzisiaj, gdy przed czynem tym, ale już ubranym w szlify generalskie, staje na baczność. Jest to swoisty okaz dulszczyzny, który zamiast szlafroka nosi skórę jeża: kłuje, ale tylko tych, którzy widzą dalej od niego.

ZBIGNIEW ZIEMSKI.

Dwa pogrzeby

Czytaliśmy niedawno w endeoenerowskim „Gońcu Warszawskim" petitową notatkę następującej treści:

„WILNO, 15.11. (ATE). Dziś popoł. na ul. Sawicz w Wilnie grupa osobników dokonała napadu na żydowski kondukt pogrzebowy. Kilka osób zostało poturbowanych. Policja zajście zlikwidowała i pogrzeb odbył się — pod eskortą policyjną".

Tylko tyle. I ten tak symptomatyczny dla naszych czasów incydent, dystansujący w swej grozie wszelkie dotychczasowe przejawy zdziczenia w Polsce, dziwnie jakoś przemilczany został przez całą prasę. Czy w potoku olbrzymich zdarzeń, wstrząsających posadami globu, utonąć musiał fakt sam przez się nieznaczny? Czy przerażająca jego wymowa musiała ujść uwadze najczujniejszych nawet publicystów? I czy zawsze wypadki znamienne muszą być przesłaniane przez wydarzenia o większym ciężarze gatunkowym?

Podkreślić bowiem trzeba, że nie mamy tu nawet do czynienia z czymś naprawdę „wyjątkowym". Grudy błota i kamieni, rzucane za żydowskimi konduktami, widzi się i w stolicy. Jedynie fakt, że ów orszak pogrzebowy w Wilnie został napadnięty przez zorganizowaną (najwidoczniej) bojówkę i musiał zostać potem otoczony przez eskortę policyjną — ma swą specjalną wymowę.

Atmosfera, w jakiej żyjemy, nazbyt sprzyja podobnym „wybrykom", aby nie miały się one zdarzać. Osobnicy, zatruci jadem rasistowskiej nienawiści, nie cofną się przed znieważaniem majestatu śmierci tak samo, jak nie cofają się przed znieważaniem majestatu nauki. I jeśli nie metodę, to przynajmniej prawo wewnętrznej konsekwencji łatwo dostrzec w tym pochodzie i w tym pogłębianiu się szowinistycznego szaleństwa.

...A w 5-tym numerze „Der Stürmer'a" z ub. roku można znaleźć artykulik na temat całkiem innego wydarzenia. Jakiś (podpisany literkami: F. B.) nazistowski denuncjator opowiada tam o fakcie zaiste niezwykłym. Pomyślcie tylko: w Niemczech brunatnego terroru i nienawiści rasowej, w Niemczech, dławionych uciskiem hitlerowskiego buta, grupa kobiet z miasteczka Zons odważyła się — w biały dzień — pójść za trumną Żydówki!

I znów fakt sam w sobie nieważki, ale jakże charakterystyczny!

Nie pomogły lata wściekłej rasistowskiej propagandy. Nie pomógł system moralnych i fizycznych gwałtów. To, co najgłębiej ludzkie, okazało się silniejsze od fal koniunkturalnego zła i głupoty.

W małym, nieznanym Zons poszły za trumną swej żydowskiej przyjaciółki niemieckie mieszczanki i robotnice. Hitlerowskiemu szpiclowi udało się zrobić zdjęcie tego konduktu. Patrzymy na twarze, na postacie, na ubrania tych młodych i starych Niemek. Zwykłe twarze, postaci i ubrania z „dnia jak codzień", takie same, jak wszędzie w Europie.

Nazistowski szpicel rozpoznał niektóre z pośród owych niewiast, uwiecznionych obiektywem jego aparatu. Wymienił je też z nazwiska w swym artykuliku, polecając, oczywiście, łaskawej pamięci miejscowych władz, a m. inn. sławetnej „Wintershilfe". Mógł sobie zatem powiedzieć, że „cała przyjemność" z dokonanego dzieła była „po jego stronie".

Ale nie mógł ani przez chwilę odczuć prawdziwej radości triumfu. Bo — jakikolwiek był rezultat jego denuncjacji — zatriumfowały przecież one, te skromne mieszczki niemieckie. Zdołały ponieść za trumną żydówki niewidzialny sztandar humanitaryzmu, którego nigdy nie dosięgnie denuncjatorska ślina.

ZYGMUNT JAROSZ.

BOLESŁAW KOSKOWSKI

Publicystyka polska straciła jednego z najwybitniejszych swoich przedstawicieli. Zmarł Bolesław Koskowski, pisarz wielkiej prawości i kultury duchowej.

Bolesław Koskowski całym swoim życiem i pracą nakazał szacunek dla siebie, i każdy, nawet przeciwnik polityczny, ale nieuprzedzony i sprawiedliwy, uznawać musiał i cenić niezwykłe wartości moralne, wiedzę i talent pisarski Bolesława Koskowskiego. Dziś nad świeżym grobem tej szlachetnej postaci, łączymy się w żalu i żałobie, spowijającej cały polski świat pisarski.

„Interwencja" i „nieinterwencja" w powstaniu Styczniowym

Kto idzie za Wolnością, niech opuści ojczyznę i odważy serce swoje. Bo kto siedzi w Ojczyźnie i cierpi niewolę, aby zachował życie, ten traci Ojczyznę i życie. Kto opuści Ojczyznę, aby bronił wolności z narażeniem życia swego, ten obroni Ojczyznę i będzie żyć wiecznie.

(Mickiewicza „Księgi Nar. i Pielgrz. Polskiego" VII).

Wybuch powstania styczniowego nie zaskoczył Europy. Zarówno rządy jak i ludy zdają sobie sprawę z tego, że stało się coś, co stać się musiało.

Historyczna konieczność powstania polskiego — to dogmat dla rozbitej po 48 r. demokracji europejskiej. Przywódcy ludowi wierzą, że „wiosna ludów" nie rozładowała całej energii rewolucyjnej mas, że pod wpływem silnego wstrząsu poderwą się ludy Europy do nowej walki o wolność i że wstrząsem tym będzie powstanie polskie.

Po drugiej stronie barykady stojące — rządy, spoglądają z niepokojem na ten kraj burzliwy, widząc w nim zaczyn rewolucji europejskiej, wulkan nigdy nie wygasły. Ale, kiedy powstanie jest już faktem, sprzeczności interesów imperialistycznych nie pozwalają rządom europejskim na ustalenie jednolitych form działania i interwencji: Zainteresowana w osłabieniu imperium rosyjskiego Anglia, nie chce się wyrzec zasady izolacji zapewniającej rząd carski o swej lojalności i kadząc jednocześnie Polakom w pięknych mowach parlamentarnych. Oficjalna Francja Napoleona III — intryganta i obłudnika, zajmuje od pierwszej chwili stanowisko dwuznaczne, aby w końcu... gratulować zwycięstwa carowi. Zasadę „neutralności" deklarują Prusy. Demonstrują przytym swoją przyjaźń i uznanie dla carskiej tyranii w słowach i czynach, wyrzynając partie powstańców wyparte za granicę i przyjmując z honorami jako gości Rosjan przepędzonych do Prus przez powstańców.

Na szyi Polski zaciska się złowrogi łańcuch „nieinterwencji".

Nieprzychylnemu stanowisku rządów europejskich towarzyszą objawy żywej sympatii dla sprawy polskiej ze strony ludów i rwącej się do czynu demokracji. Nadszedł czas wyciągnięcia konsekwencji z teoretycznej konieczności walki o Polskę Niepodległą, formułowanej wielokrotnie przez Garibaldiego, Bakunina i innych przywódców obozu postępu i rewolucji.

Powstaje pytanie — jak to zrobić?

Pierwszy konkretny projekt wysuwa płomienny rewolucjonista Bakunin. Już w 10 dni po wybuchu powstania (2 lutego) śle z Londynu, (skąd wraz z Hercenem kieruje agitacją propolską) list na ręce rządu powstańczego. Pisze w nim m. inn.: „...sposób służenia wam — to uformowanie w Polsce i w samym obozie rewolucji polskiej legionu rosyjskiego. To jest moje główne dzieło i moje pragnienie najgorętsze. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że istnienie narodowego rosyjskiego legionu ze wspaniałym sztandarem „Ziemi i Woli" wywarłoby olbrzymie wrażenie moralne i na całej armii rosyjskiej, skierowanej przeciwko wam i na całej Rosji".

Nie poprzestaje jednak na tym. Rwie się do czynu, do bezpośredniego udziału w powstaniu. Udaje się w tym celu do Sztokholmu, ażeby stamtąd przez Finlandię, dostać się na Litwę i do Kongresówki. Utopijny plan Bakunina, oczywiście nie wchodzi w życie. Istniejący już uprzednio spisek wśród wojska rosyjskiego likwiduje władza carska przy pomocy przysłanych specjalnie... z Londynu agentów tajnej policji angielskiej. Mimo niepowodzenia akcji walczą w szeregach powstańczych wojskowi Rosjanie — demokraci jak np. bohaterski sztabs-kapitan piechoty Andrzej Potiebnia, porucznicy Bezkiszkin, Kutuzow, Fienin i wielu innych.

Projekt legionu rosyjskiego jest pierwszą nieudałą imprezą „interwencyjną" w powstaniu. Drugi plan zorganizowania oddziału ochotniczego rodzi się również w Londynie.

Alfred Styles, anglik, porucznik b. armii Garibaldiego tworzy w stolicy Anglii „Legion angielski". Na czele tego oddziału stanąć miał gen. Forbes. Pomimo zgłoszenia się ok. 250 kandydatów oddział nie wyruszył na front. Przyczyniło się do tego zarówno nieprzychylne stanowisko prawicowego odłamu emigracji polskiej w Anglii, jak i starania ambasadora rosyjskiego, który wymógł na sądzie rozkaz aresztowania Stylesa za przekroczenia prawa wzbraniającego zaciągów do obcej armii.

Po drugiej stronie La Manche demokraci żyją złudzeniami. Deputowany Juliusz Favre w szlachetnym uniesieniu na posiedzeniu izby dn. 5.II. wzywa rząd, aby powiedział, czy nie może użyczyć swej sankcji życzeniu ciała prawodawczego, aby Polska była wolną. Oświadcza przy tym, że żądanie to opiera na poprzednim postępowaniu rządowym np. na obecnej interwencji w Mexyku i dawniejszym mieszaniu się do spraw wewnętrznych królestwa neapolitańskiego. „W Neapolu — woła mówca — chodziło jedynie o wewnętrzny zarząd; w Polsce chodzi o ludzkość, chodzi także o prawa". Wołanie Favre'a, które zresztą pozostało bez wpływu na rząd francuski, — to był głos ludu Francji. Czyn Young Blankenheim'a, Andreolego, Die'a, Didiere'a, de Lamonthe'a i innych Francuzów walczących i ginących za wolność i Polskę — to była interwencja ludu Francji.

To, co nie powiodło się Rosjanom, Anglikom i Francuzom stworzyli Włosi. „Nie opuszczajcie Polski" wołał do ludów Europy Garibaldi. „Jeżeli my wszyscy jej pomożemy, spełnimy święty obowiązek i świat będzie mógł urządzić się zgodnie z powszechnym szczęściem, które jest celem ludzkości". I rewolucjoniści włoscy nie opuścili Polski. Brygadę międzynarodową w powstaniu 1863 r., pod nazwą „Legii Cudzoziemskiej" tworzyli ochotnicy z Bergamo, do których przyłączyło się w Krakowie kilku Włochów i Francuzów. Na czele oddziałku stanął pułkownik b. wojsk garibaldyjskich Francesco Nullo. Było ich niewielu — dwudziestu pięciu. W czerwonych, garibaldyjskich koszulach, z płomieniem walki w sercach oczekiwali niecierpliwie pierwszego spotkania z wojskami wroga wolności ludów, kata Polski — cara. Ale niestety już w pierwszej większej potyczce, pod Krzykawką, wojska rosyjskie rozbiły „Legię Cudzoziemską". Wielu legionistów synów słonecznej Italii wtrącono na zawsze w otchłań syberyjskiej nocy. Padł na polu chwały Nullo.

„Umiał po polsku tylko trzy słowa: „Naprzód na bagnety!" i byłoby to wystarczyło do zwycięstwa. Ponieważ zwyciężyć nie mógł, zginął. Takie były jego dzieje na polskiej ziemi". (K. Finlej - Bielańska).

Takie były dzieje interwencji ludów na polskiej ziemi.

MIECZYSŁAW SAWICKI.

Trud nieopłacony

Niedługo Sejm rozpatrywać będzie zgłoszone przez posła Snopczyńskiego projekty nowelizacji ustawy przemysłowej i ustawy o ochronie młodocianych. Projekty te zmierzają do coraz większego izolowania młodocianych robotników (uczniów, terminatorów, praktykantów) od ogółu robotników, korzystających z ustaw ochrony pracy; i do coraz większego upośledzenia tych młodocianych. W kilku słowach można scharakteryzować tendencje tych projektów. Ustawodawstwo polskie stworzyło w poprzednich latach nienajgorszą (teoretycznie) ochronę pracy młodocianych (ustawa z d. 2.VII.1924 r. i różne dodatkowe rozporządzenia), a choć ustawa o prawie przemysłowym (z d. 7.VI.1927 r.) wprowadziła pewne pogorszenie, utrwalając fikcję nauki w rzemiośle i nawet rozszerzając ją na przemysł fabryczny, to jednakże złe skutki jej zostały częściowo sparaliżowane przez wprowadzenie w r. 1931 zakazu bezpłatnego zatrudniania młodzieży w przemyśle i w r. 1934 — przez rozciągnięcie działania tego zakazu również na rzemiosło. Dziwną jest rzeczą, iż w latach niewątpliwej reakcji społecznej i w okresie pogarszania ustawodawstwa społecznego ochrona pracy młodzieży nie doznała uszczerbku. Przeciwnie ochrona ta została udoskonalona przez wprowadzenie owego kapitalnego zakazu. Wypada więc fakt ten objektywnie stwierdzić i uznać, że pod względem ochrony pracy młodocianych Polska nie cofnęła się w ostatnich latach.

Projekt posła Snopczyńskiego godzi właśnie w te zdobycze młodzieży robotniczej. Wprowadzając podział rzemiosł na trzy kategorie: zreglamentowanych, koncesjonowanych i wolnych, zalicza do zreglamentowanych dwadzieścia dziewięć najważniejszych gałęzi produkcji; dość wymienić drukarstwo, ślusarstwo budowlane, maszynowe, samochodowe, tokarstwo, murarstwo, kowalstwo, malarstwo, piekarstwo i in. Podług dawnego prawa przemysłowego młodociani robotnicy w warsztatach rzemieślniczych podlegali normalnej umowie o pracy, warunki „uczniów" wolno było stosować tylko do młodzieży, objętej formalną pisemną umową o t. zw. „nauce". Tymczasem według projektu posła Snopczyńskiego: „Pracownicy młodociani, zajęci przy produkcji w rzemiosłach koncesjonowanych i zreglamentowanych, są uważani z samego prawa za uczniów (terminatorów)". Całą wymowę tego projektowanego prezentu dla mistrzów rzemieślniczych pojmiemy dopiero wtedy, gdy przypomnimy sobie, że nowela do prawa przemysłowego z r. 1934 wprowadziła kategoryczny zakaz bezpłatnego zatrudniania uczniów oraz zakaz pobierania od nich zapłaty za naukę; projekt zaś Snopczyńskiego chce w jednym i drugim wypadku uchylić ten zakaz. „Rzemieślnik zawodu koncesjonowanego i zreglamentowanego może przy zawarciu umowy o naukę pobrać od rodzica lub opiekuna ucznia (terminatora) jednorazowe wynagrodzenie za naukę"... i dalej: „W wypadku, gdy nie umówiono jednorazowego wynagrodzenia za naukę, rzemieślnik może zastrzec w umowie, że przez pierwszą połowę czasu nauki nie będzie płacił uczniowi (terminatorowi) za pracę". Dodamy do tego, że projekt przewiduje możność przedłużania czasu nauki do lat... pięciu! Sympatyczna perspektywa korzystania w ciągu dwóch i więcej lat z całkiem bezpłatnej pracy młodego robotnika! Istotne „ułatwianie" właścicielom warsztatów kalkulacji handlowej i rachunku zysków!

Szkodliwość tych projektów nie wyczerpuje się w paragrafach, dotyczących warunków pracy i płacy młodzieży. Projekt przewiduje rozciągnięcie działania prawa przemysłowego również na chałupników, którzy cierpliwie i długo — bezowocnie — czekali na ustawę o pracy chałupniczej, ustawę pomyślaną jako ustawa społeczna. Załatać brak tej ustawy przez wtłoczenie chałupników do prawa przemysłowego, leżącego poza ustawodawstwem społecznym — to znaczy pogrążyć jeszcze głębiej tę najbardziej upośledzoną gałęź pracy.

W stosunku do właściwego rzemiosła projekt pos. Snopczyńskiego wzmacnia tylko wady prawa przemysłowego, które odbiega od linii rozwoju naszego życia gospodarczego Prawo przemysłowe usiłowało wtłoczyć w ramy starodawnej organizacji cechowo-rzemieślniczej drobne warsztaty wytwórcze, starające się unowocześnić swoje metody i sposoby produkcji. Prawo przemysłowe wymagało dowodu uzdolnienia rzemieślniczego od życzącego prowadzić warsztat; było to już poważne skrępowanie, ale to mógł być bądź co bądź i czeladnik; zatem — nie było mowy o określaniu czasu pracy czeladniczej. Projekt zaś wprowadza dalsze bardzo poważne ograniczenia, zacieśniając jeszcze bardziej grupę osób, nadających się do prowadzenia warsztatów: czeladnik musi conajmniej tyleż lat spędzić w pracy czeladniczej ile miał lat nauki, nim uzyskać może tytuł mistrza; zresztą i do egzaminu czeladniczego nie wolno przystępować przed osiągnięciem wieku 24 lat, — następnie, przedłuża się o dwa lata (a więc do ośmiu) żądanie nieprzerwanego prowadzenia przedsiębiorstwa w danej gałęzi produkcji. Czy to wszystko ma sprzyjać rozwojowi wytwórczości? Nie, tylko służyć interesom bardzo zamkniętej grupy społecznej.

I takie projekty wnosi się w czasie, kiedy chyba każdy już rozumie, że cała przyszłość Polski związana jest z rozbudową jej przemysłu, jaknajbardziej współcześnie organizowanego, jaknajdoskonalej zmechanizowanego, przyciągającego jaknajwięcej sił wytwórczych! Ze stanowiska społecznego zaś sprawa wygląda tak, że młodzieży robotniczej zamierza się odebrać uprawnienia do ochrony pracy, w życiu słabo stosowanej, a jednak słusznej, wiążącej z państwem, opartej o zasadę sprawiedliwości społecznej. Z jakiego punktu widzenia takie projekty mogą być uważane za pożyteczne dla Polski?

HALINA KRAHELSKA.

Roosevelt nie kapituluje

„Nikt nie może zachować ostatniego słowa dla siebie, mimo to jednak wierzyć będziemy w postęp i rozwój.

Demokracja... jest szukaniem, nigdy nie ustającym dążeniem do tych właśnie dwóch celów i walką o nie. Wiele dróg instnieje... wszystkie one prowadzą tylko w dwóch kierunkach. Jeden kierunek zmierza do państwa dla dobra małej grupy, drugi do państwa dla dobra ogółu"...

„Nie wolno nam dopuścić do tego, aby choć jeden Amerykanin, który chce i może pracować, umierał z głodu tylko dla tego, że rząd federalny nie może mu dać pracy"...

(z mów prez. Roosevelta).

Przywykliśmy, w starej Europie, do uważania wielkiej republiki po drugiej stronie Oceanu, za władztwo wielkich trustów i monopoli, za królestwo Rockefellerów i Morganów. Mieliśmy podstawy ku temu. Czy nie wiedzieliśmy, czy nie opowiadali nam o tym tacy stuprocentowo amerykańscy pisarze, jak Upton Sinclair, czy Jack London, jak to wielkie tru-

sty korumpują wszystko, co tylko ma władzę w kraju, jak fabrykanckie bojówki otrzymują odznaki policji państwowej, jak magnaci naftowi czy kolejowi kpią sobie z ustaw państwowych? Czy nie widzieliśmy jednego z nich, Mellona, jako ministra skarbu Stanów, czy nie widzieliśmy prezydenta Stanów, prezydenta największej potęgi światowej, zamieszanego w aferze magnatów naftowych Sinclaira i Doherty'ego? Czy wreszcie nie widzieliśmy, ku naszemu zdumieniu, że wszystkie te wyczyny wielkiego kapitału nie spotykały na pozór żadnego oporu, żadnego sprzeciwu w społeczeństwie? Że przeciętny amerykański robotnik i technik, podobnie jak ongi napoleońscy żołnierze, wierzył, że w swej ubogiej podróżnej walizeczce nosi przyszłą pancerną kasę jakiegoś nowego Rockefellera?

A przecież, obok tamtej Ameryki, Ameryki Babbittów, Ameryki Morganów i Vanderbiltów, istniała Ameryka druga. Nie zrodziła się ona dopiero z Uptonem Sinclairem, czy Londonem, czy podobnym do nich, choć mniej znanym, Johnem Reedem. Istniała tak długo, i bodaj dłużej, niż Ameryka trustów i Wallstreet. Ameryka farmerów i miejskich rzemieślników, którzy ongi, sto kilkadziesiąt lat temu, położyli w walce z angielskimi lordami fundamenty dzisiejszych Stanów Zjednoczonych. Ameryka demokracji, schronisko całych pokoleń europejskich demokratów i rewolucjonistów. Ameryka, której wcieleniem był Tomasz Jefferson, druh francuskich jakobinów, wierny przyjaciel Wielkiej Rewolucji, niezłomny obrońca Praw Człowieka i Obywatela. To on pisał, sto kilkadziesiąt lat temu, że trzeba, aby „pracujący uzyskiwali płace, które im pozwolą lepiej się odżywiać, porządnie się ubierać, z mniejszym wysiłkiem pracować i dzieci odpowiednio wychować. „To on, na kilkadziesiąt lat przed zniesieniem niewolnictwa w Stanach pisał, że „każdego planu trzeba bronić, każdy wysiłek podjąć, który przyczynić się może do zniesienia niewolnictwa". To on odpowiadał współczesnym sobie zwolennikom rządów „elity": „Chociaż Sir I. Newton przewyższał wszystkich innych rozumem, to jednak nie był jeszcze przez to panem ich własności lub ich osoby". To on za fundament wolności amerykańskiej uważał: „wolność prasy, wolność religii, wolność zgromadzeń, ograniczenie monopoli, wolność osoby i rządy przysięgłych".

Udało się wielkim trustom na czas pewien opanować życie publiczne wielkiej demokracji z drugiej strony Atlantyku. Wolność jednostki w interpretacji tych Wallstreetowego obrządku liberałów, stała się wolnością plądrowania całego społeczeństwa i korumpowania państwa.

Pod osłoną demokratycznych formuł rządzili Morganowie i Rockefellerowie. Kiedy niedawno, już za Roosevelta, podano badaniu konta banku Morgana, znaleziono w wykazach jego uprzywilejowanych klientów, t. zn. mówiąc poprostu skorumpowanych przez niego osobników niemal całą „elitę" Hooverowskiej administracji. Kraj Jeffersona był jedynym krajem, gdzie do 1933 r. dozwolona była praca dzieci, gdzie chory lub bezrobotny robotnik mógł co najwyżej iść żebrać na ulicę, gdzie nieznanym było samo pojęcie ubezpieczeń społecznych. Kraj Jeffersona był krajem, w którym działaczy związkowych pod śmiesznymi, jawnie kłamliwymi zarzutami (sprawa Mooney'a!) skazywano na śmierć lub długoterminowe więzienie. Kraj Jeffersona był krajem, gdzie najdobitniej ujawniało się zakłamanie takiej demokracji, która, podług nieśmiertelnych słów Anatola France'a „wszystkim jednakowo pozwala spać pod mostem i mieszkać w pałacu".

A ślepota kierowników trustów i nieuniknione, wewnętrzne sprzeczności kapitalistycznej gospodarki doprowadziły do wielkiej katastrofy 1930/31 r. Bezrobocie jednym nagłym skokiem podniosło się na 15 milion. Jeśli uwzględnić rodziny bezrobotnych, to jedna czwarta część ludności Stanów nie wiedziała, czy jutro będzie miała co do ust włożyć. Z pozostałych trzech czwartych cała, olbrzymia, blisko jedną trzecią część ludności stanowiąca masa farmerska stała na skraju ruiny. Wystarczyło poczekać jeszcze kilka miesięcy, a runęłaby fala eksmisji i licytacji, która zmiotłaby z gruntu przygniatającą większość amerykańskich farmerów. Na gruzach życia gospodarczego, na gruzach dobrobytu ludności, broniły się tylko twierdze koncernów i trustów. Dochód społeczny, produkcja przemysłowa Stanów spadła o połowę. Ale ceny cementu podniosły się w tym samym czasie — od 1929 do 1931 r. — o 5%. Ceny stali o 1½%. Wtedy to obudziła się do nowego życia Ameryka Jeffersona. Jej wcieleniem, ze wszystkimi jej wadami i zaletami, stał się Franklin Roosevelt.

Stwierdźmy przede wszystkim pewne, niewątpliwe, niezależne od jakichkolwiek zastrzeżeń teoretycznych, fakty.

W r. 1932, w chwili gdy Roosevelt obejmował rządy, dochód społeczny Stanów wynosił 38 miliardów dolarów. W r. 1937 doszedł do blisko 70 miliardów. W r. 1932 produkcja przemysłowa spadła poniżej 50% produkcji 1929 r. W r. 1937 podniosła się do około 95%, nie licząc robót publicznych, których wogóle nie było w r. 1932.

Metody, przy pomocy których osiągnięto ten rezultat nie były bynajmniej zasadniczo, doktrynalne antykapitalistyczne. Przeciwnie, było w nich sporo szczegółów, więcej niż sympatycznych dla kapitału. N.I.R.A. rozluźniała ostre, choć nie stosowane w praktyce antykartelowe postanowienia ustaw antytrustowych. Dewaluacja dolara ułatwiła przemysłowi amerykańskiemu ekspansję i walkę z konkurencją na rynkach zagranicznych. Zyski wykazane przez spółki akcyjne w r. 1932 spadły niemal do zera, do około 5% stanu z 1929 r. W r. 1937 doszły znowu do około 75%. Nie jest to znowu tak mało.

Ale rooseveltowski New Deal nie zadowolił się podwyższeniem zysków spółek akcyjnych. Uparcie myślał o dotrzymaniu swych przedwyborczych obietnic. Uparcie dążył do zapewnienia udziału, realnego, konkretnego udziału w prosperity farmerom, robotnikom, pracownikom umysłowym. Uparcie i nie bez skutku. Inde ira — stąd gniew kół „big business", wielkiego kapitału amerykańskiego.

W chwili, gdy Roosevelt przychodził do władzy, w Stanach nie istniały ubezpieczenia socjalne. Z 48 stanów federacji tylko w czterech państwo w jakikolwiek sposób wypłacało zasiłki bezrobotnym. Gdzieindziej byli zdani na prywatną dobroczynność. W chwili obecnej istnieją już, obowiązujące na całej przestrzeni Stanów, ubezpieczenia od bezrorbocia, ubezpieczenia gwarantujące pensję starczą, ubezpieczenia od wypadków. Składki na ubezpieczenie od bezrobocia opłaca wyłącznie pracodawca.

W chwili, gdy Roosevelt przychodził do władzy, związki zawodowe były czymś wręcz zakazanym,

prześladowanym przez przemysłowców, istniały specjalne, utrzymywane przez pracodawców, żółte związki fabryczne t. zw. Company Unions, strajki robotnicze miały przeciwko sobie przemoc kapitału, bojówki fabrykanckie, sądy i policję państwową. Dziś liczba zorganizowanych w obu centralach związkowych, A.F.L. i C.I.O. dochodzi do 10 milionów, popieranie finansowe „Company Unions", prześladowanie za działalność związkową jest zakazane pod grozą, pilnie przestrzeganej ustawy. W ostatnich strajkach stalowni gubernatorzy poszczególnych Stanów po raz pierwszy proklamowali stan wojenny w obronie strajkujących, przeciw fabrykantom, by nie dopuścić do uruchomienia fabryk przez łamistrajków.

Gdy Roosevelt obejmował władzę, fabrykanci ustalali dowolnie płace dla każdego poszczególnego robotnika, obniżali je przy każdym pogorszeniu koniunktury, nie było ustawowych ograniczeń czasu pracy. Obecnie umowy zbiorowe są fundamentem polityki robotniczej Administracji Stanów. N.I.R.A. zapewniła 40 - godzinnny tydzień pracy trzynastu milionom robotników. Podniosła równocześnie stawki płac tych robotników o 20%, tak że suma ich zarobków nietylko nie spadła, wskutek skrócenia czasu pracy, ale podniosła się o 3,5%. Realne, t. j. z uwzględnieniem wzrostu cen, zarobki robotnicze, wynosiły w r. 1932, gdy Roosevelt obejmował władzę około 50% zarobków z 1929 r., a w 1937 podniosły się ponad 100% tego stanu. „Przejście od głodowych płac i dorywczego zatrudnienia do godziwych płac i stałego zatrudnienia" zostało po raz pierwszy proklamowane w oficjalnym dokumencie, jako cel polityki gospodarczej Stanów.

Gdy Roosevelt obejmował władzę, farmer amerykański stał u skraju przepaści. Ceny jego produktów spadły do ułamka poprzedniej wartości. I z tych uzyskiwanych centów dwie trzecie zabierały wielkie trusty, które opanowały pośrednictwo w handlu. Setkom tysięcy farmerów groziła licytacja i przegnanie z gruntu. Obecnie kredyty udzielone farmerom przejął na siebie rząd. Licytacje zostały wstrzymane. Ograniczono przewagę trustów pośredniczych. Z dolara, płaconego przez konsumenta za produkty rolnicze, farmer w r. 1932 otrzymywał 35 centów, w r. 1937 — 47 centów. Odpowiednio wzrosły i dochody farmerskie. W r. 1932, przy ustąpieniu Hoovera wynosiły one mniej niż 40% dochodów z 1929 r., w r. 1937 wzrosły ponad 80%. Absolutnie identyczne cyfry mniej niż 40% i ponad 80% wykazują też sumy sprzedaży w handlu detalicznym stanów rolniczych. Znaczy to, że farmer nadwyżkę dochodów zużył na poprawienie swej stopy życiowej, że poprawa położenia farmera przyniosła wzrost zapotrzebowania na artykuły przemysłowe, a więc wzrost zatrudnienia w przemyśle.

Polityka rooseveltowska osiągnęła więc cel podwójny: nietylko poprawę koniunktury, ale i wzrost, w ramach tej poprawy, udziału świata pracy miejskiego i wiejskiego w tej koniunkturze. Po raz pierwszy w dziejach Stanów za ostatnich lat kilkadziesiąt, płace robotnicze i dochody farmerskie wzrosły szybciej niż zyski kapitału. Po raz pierwszy została naruszona święta, nietykalna zasada o fabrykancie — panu życia i śmierci w swym zakładzie pracy. Czy mógł to darować Rooseveltowi wielki kapitał, panowie trustów, koncernów i holdingów? Rzecz jasna, że nie. I dlatego w indywidualistycznej Ameryce, niby to obcej klasowym ideologiom, drugie wybory rooseveltowskie, w 1936 r. przybrały dobitnie klasowy charakter. „Znikoma garść ludzi, zarabiających więcej niż określone minimum dochodu, głosowała na Roosevelta. I naodwrót, znikoma garstka ludzi, zarabiających mniej niż to minimum głosowała przeciw Rooseveltowi, na Landona..." „Biedni wygrali wybory przeciw bagatym..." Tak pisał nie jakiś organ socjalistyczny, a stary, poczciwy, liberalny londyński „Economist". I dodawał z miejsca: „Ludzie pobici, ludzie, którzy nie będą wiwatować w tę noc powyborczą, pozostali jednak w życiu amerykańskim. I pozostało wszystko, czego bronią. Władza ekonomiczna jest w ich rękach, mimo klęski wyborczej. A władzy się nie oddaje. O władzę trzeba walczyć".

Miał rację stary, doświadczony „Economist". O władzę trzeba walczyć. Jesteśmy w tej chwili świadkami kolejnej bitwy o tę władzę. Znowu rooseveltowski „New Deal" odpiera jeden z ataków szturmowych „amerykańskich sześćdziesięciu rodzin" na pozycje demokracji amerykańskiej. Ten atak to ostatnie załamanie się koniunktury gospodarczej w Stanach.

ROMAN LANG.

NA WIDOWNI POLSKIEJ I ŚWIATOWEJ

AKADEMIA KU CZCI STEFANA CZARNOWSKIEGO

We wtorek, dn. 8-go lutego r. b. o godz. 8-ej wieczorem w sali przy ul. Suzina 3 staraniem Stowarzyszenia „Szklane Domy", oraz przyjaciół i uczniów prof. Stefana Czarnowskego odbędzie się Akademia ku Jego czci.

Przemawiać będą: *Czesław Domieniewski, Emanuel Freyd, Kazimierz Namysłowski, Stanisław Ossowski, Teofil Wojeński, Zdzisław Zmigryder-Konopka*

ANDRZEJOWI STRUGOWI W HOŁDZIE

„Sygnały" wydały specjalny numer, poświęcony pamięci Andrzeja Struga. Numer ten zawiera bogaty materiał o życiu, twórczości literackiej i publicystycznej znakomitego pisarza. W numerze tym zamieścili pracę między innymi: Leon Kruczkowski, Mieczysław Niedziałkowski, Ewelina Wróblewska, Stefania Sempołowska, Mariusz Zaruski, Julian Maliniak, Paweł Hulka-Laskowski, Adam Próchnik, Herminia Naglerowa.

Zeszyt ten jest bardzo wartościowy i stanowi źródło wyczerpujących wiadomości o tej wielkiej postaci.

„Sygnały" od dn. 15 lutego ukazywać się będą dwa razy w miesiącu, z datą 1-go i 15-go każdego miesiąca. Adres redakcji i administracji: Lwów, Hauke Bosaka 12.

FINANSIŚCI TRZECIEJ RZESZY

Jak wiadomo, rząd niemiecki znajduje się w stałych tarapatach finansowych. Trudno, przygotowania wojenne kosztują i samo masło, zeskrobywane starannie z chleba robotników i pracowników nie starcza na tyle armat ile ich potrzeba brunatnym wodzom. To też już w styczniu wypuszczono na rynek niemiecki 750 milionów skryptów dłużnych Rzeszy emisji 1938 roku.

Wykaz firm bankowych, lansujących te skrypty dłużne, jest niezwykle pouczający. Znajdujemy tu całą — obok „aryskiej" — całą żydowską finasjerę niemiecką, wszystkich owych „jüdische

Bank — und Börsenfürsten", którym tak groźnie zapowiadał wojnę ongi Hitler. Jest dom bankowy Bleichröderów, Dreyfusów, Oppenheimów, Warburgów, Mendelsohnów. Cytujemy tylko nazwiska, podpadające niewątpliwie pod ustawy norymberskie. Wątpliwych pomijamy.

Widowisko podwójnie obrzydliwe. Oto partia rządząca, która wojnę z Żydami ogłosiła za swe hasło naczelne, wyciąga żebracką rękę do żydowskich bankierów. Oto, naodwrót, żydowscy bankierzy, ogłoszeni, jak wszyscy Żydzi, za pariasów, za wyrzutków społeczeństwa, finansują dla zysku partię, która codzień pluje im w twarz. Przy ilu milionach marek kończą się zasady jednych a zwykła godność osobista drugich?

Oto jest oblicze hitlerowskiego antysemityzmu: sponiewieranie nielicznej stosunkowo garści inteligencji i drobnomieszczaństwa żydowskiego (robotników Żydów w Niemczech nie było niemal wcale), robotnik i chłop niemiecki, „aryjski", zakuty w dyby faszystowskiej niewoli, obrabowany z wszystkich swych obywatelskich praw, Hitler gościem honorowym na ślubie panny Krupp, a Mendelsohnowie i Bleichrudery jako wspólnicy antysemickiego reżymu!

ŻÓŁTE NIEBEZPIECZEŃSTWO.

Praktykowane od kilkudziesięciu lat brukowe alarmy o „żółtym niebezpieczeństwie" przybrały ostatnio na sile. Grozi nam ponoć zalew żółtych barbarzyńców na Dalekim Wschodzie. Japonia chce zorganizować pod swym przewodem całą rasę mongolską i zniweczyć do szczętu wpływy rasy białej. W takim świetle przedstawia się naiwnemu czytelnikowi gazet polityczny charakter japońskiego napadu na „bratni" naród chiński.

Zjawisko to ma dwie strony. Po pierwsze sami napastnicy przedstawiają w ten sposób „idealne" pobudki swego najazdu na Chiny. Trzeba przecież wmówić „szarym" Japończykom, których wysyła się przeciw Chinom — i Chińczykom, których ujarzmia się w interesie japońskich koncernów kapitalistycznych, że generałowie japońscy wypełniają tylko wielką, historyczną misję jednoczenia wszystkich Mongołów dla świętej walki z rasą białą. Zaborcy japońscy nie są przecież ani lepsi ani gorsi od innych. A kiedyż to zaborcy przyznają się do rzeczywistych pobudek, które pchają ich do podbojów i ujarzmiania innych narodów?

Z drugiej strony szerzenie w Europie czy w Ameryce bzdur o żółtym niebezpieczeństwie leży w interesie białych sojuszników Japonii, rezydujących w wielu większych i mniejszych stolicach europejskich. W ten sposób zasłaniają oni rzeczywisty charakter japońskiej agresji, która w istocie swej nie różni się niczym od włoskiego podboju Abisynii czy włosko - niemieckiego najazdu na Hiszpanię — i jest dalszym etapem w realizacji *wspólnego* planu podboju świata przez międzynarodówkę faszystowską. Niebezpieczeństwo, które zagraża narodom, nie jest żółte — jest *czarne*, faszystowskie. „Jednoczenie" rasy żółtej przez Japonię wróży bowiem narodom mongolskim akurat to samo, co „jednoczenie" europejczyków przez Niemców i Włochów wróży rasie białej.

LIST DO REDAKCJI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!
Będę Panu bardzo zobowiązany za użyczenie mi gościny na łamach „Epoki" w następującej sprawie:

Niejaki p. Henryk Glass wydał broszurę p.t. **„Wpływy Kominternu wśród nauczycieli"** (W-wa 1938, 2-gie wydanie, nakł. Centr. Biura Poroz. Antikomunistycznego) poświęconą Związkowi Nauczycielstwa Polskiego. Na str. 46 odnalazłem tam moje nazwisko. Mianowicie rozdz. V-ty zatytułowany **„Objawy wpływów komunistycznych w Z. N. P."** obejmuje także powtórzoną przez autora — jak twierdzi — za A.B.C. i „Gońcem Warszawskim", listę „żydów i osób żydowskiego pochodzenia, zasiadających w kierownictwie poszczególnymi agendami Z.N.P." i w niej to, powołując się na „Przewodnik Pracy Społecznej", zamieszcza także moje nazwisko. Zastrzega się przy tym w odnośniku, iż kilka nazwisk z listy ogłoszonej w prasie opuścił, dając tym „maximum dobrej woli, w kierunku ustalenia listy możliwie ścisłej, a nie krzywdzącej przypadkiem osób **narodowości polskiej**".

W związku z tym piętnuję pospolite korsarstwo, uprawiane w dziedzinie czci ludzkiej, li tylko na podstawie brzmienia nazwisk, wydającego się autorom tego paszkwilu niedość polskim. Charakterystyczna dla metody jest okoliczność, iż ów p. Glass zapomina przy tym o **własnym nazwisku,** które — stosując do jego twórczości tę samą miarę, jaką on w ślad za A.B.C. stosuje do drugich — mogłoby snadnie również świadczyć o — powiedzmy — komunistycznych wpływach wśród sfer atakujących Związek Nauczycielstwa Polskiego.

Nazwisko moje znalazło się w sąsiedztwie takich nazwisk, jak Tuwima, Berensona, Słonimskiego, a więc w towarzystwie, które przynosi mu tylko zaszczyt. Zaszczyt by mu, również przynosiło, gdyby noszący je istotnie zasiadał kiedykolwiek w kierownictwie jakąś agendą Z.N.P. Niestety ogłosiłem tylko jednorazowo w N-rze 6 „Przewodnika Pracy Społecznej" (rocznik 1934—35) artykuł p.t. „Praca społeczna a państwo", będący streszczeniem odczytu publicznego, wygłoszonego w grudniu 1934 w Uniwersytecie Jagiellońskim; na tym fakcie mój „kierowniczy" udział w pracach Z.N.P. się wyczerpał. Jeżeli zatem wszystkie rewelacje owego pana Glassa i sfer do niego zbliżonych, łącznie z ich informatorami, są równie ścisłe, atak ich na Z.N.P. przedstawi się każdemu w należytym świetle.

Związanie zaś mego skromnego nazwiska, choćby w sposób najbardziej pośredni, z jakąkolwiek akcją Kominternu, traktuję jako Polak, oficer i nauczyciel akademicki za napaść, będącą poniżej mojej pogardy.

Racz przyjąć, i t. d.

Dr Jerzy Stefan Langrod
profesor na Wydziale Prawa
Uniw. Jagiellońskiego.

SPROSTOWANIE

Do wiersza Krystyny Czerskiej „Mój most" (Nr 3 Epoki) zakradły się omyłki zecerskie. Wiersz drugi brzmieć winien: „Mam domek, lasów zadumany czarem". W wierszu 7-ym powinno być: „czy dobro czy zło".

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. O R D Y N A C K A 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630

R E D A K T O R przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. R Ę K O P I S Ó W nie zwraca się
P R E N U M E R A T A kwartalnie — zł 4.—. Numer pojedyńczy 59 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR i WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 4566 Odbita w Zakł. Druk. W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3.